

Sala 130 * Zbrodnia w zagajniku * W kolejce po „dary”
* Sceny miłosne * Kraina westernu? * Krzyżówki

PL ISSN 0465-1661 Nr indeksu 36 639

małodobrze

ZIELONA GÓRA 27 VII 1986 — 9 VIII 1986 R.
ROK XXX NR 15 [620] CENA 15 ZŁ

SIŁA PRZEBICIA

Jerzy Chłodziński

— Najpierw na siłę, na „chama” mobilizowałem dyrektora, że by wyasfaltował tę główną ulicę w mieście. Miałem na to trzy miliony. Zrobił wszystko błyskawicznie i wystawił fakturę na 8700 tysięcy złotych, bo to tyle kosztowało. A ja byłem bez środków! Udało się zapłacić w grudniu. W konsekwencji trzeba było płacić odsetki, bo dyrektor brał kredyt na tę inwestycję...

Widmo odsetek spowoduje takie działania naczelników, że nie mając pieniędzy na kupce, nie licząc na zebranie, pomoc i dotacje — nie będą podejmować działalności inwestycyjnej. Już nie mogą. Nie wolno!

Jest to jedna z nauk, jaką Roman Ratajczak, naczelnik miasta Międzychód w województwie gorzowskim, wyniósł w dobie reformy. Gdy on działał — od setki rośli Ulica Chrobrego też miała pierwotnie kosztować 2,5 mln zł, a zapłacono za nią 18 milionów! Największy tłuczeń i asfalt, czyli podbudowa i asfaltowanie, kosztuje ok. dziesięć milionów złotych za kilometr. To są niesamowite koszty i nie każde mia-
sto potrafi je ponieść.

CZAS NA PRYWATNOŚĆ

W administracji Roman Ratajczak pracuje od 1972 roku, gdy powierzono

mu współtworzenie miasteczka gminy. Wywodzi się z Poznania, gdzie mieszkał od urodzenia aż do ukończenia studiów mikrobiologii w Akademii Rolniczej w 1971 roku. Przez pierwszy rok po studiach był głównym specjalistą do spraw produkcji roślinnej, w przedsiębiorstwie, które wkrótce potem rozwiązano. Wtedy zdecydował się na pracę w administracji państwowej.

Z Międzychodem łączy go związek serdecznym żoną-prawnik, którą wybrał w studenckich czasach z tutejszego jeziora, pracując jako ratownik na plaży. Nie ma dziś czasu, żeby ratownicze hobby rozwijać. Gdy ma wolny czas spędza go raczej z rodziną, z trzynastoletnią Magdą i prawie dwunastoletnią Moniką nad jeziorami w lesie, raczej z daleka od ludzi. Ludzi ma wokół na co dzień. Żona również jako sędzia, a dokładniej: radca prawny w Rolniczym Kombinacie Spółdzielczym i w SKR. I nie wchodzi sobie w drogę na płaszczyźnie zawodowej, nie rozmawiają o pracy w domu. Zastrzegł to sobie. Dom musi być strefą ciszy. Musi być czas na prywatność.

PIERWSZY KROK...

Okolice Międzychodu były bardzo za niedbane, bo... najciemniej pod latarnią. Najgorsze gleby, ale i najgorsza sieć dróg. Ludzie rzucali gospodarstwa.

ciąg dalszy na str. 4

Zza kulis wywiadów

CO SIĘ ZDARZYŁO W BERNIE WIOSNĄ 1945r.?

Michał Horowicz

To, co zdarzyło się w Bernie wiosną 1945 roku, znalazło już w historii dyplomacji określenie „incydentu berneńskiego”. „Incident” ten był w rzeczywistości ostrym konfliktem politycznym wynikłym w końcowym etapie wojny między partnerami antyhitlerowskiej koalicji w związku z tajnymi rozmowami przedstawicieli faszystowskich Niemiec z przedstawicielami USA i W. Brytanii, których celem było — ni mniej, ni więcej — zawarcie separatystycznego pokoju z hitlerowską III Rzeszą.

Wnikliwe zbadanie różnych dokumentów, wspomnień, rozmów z niektórymi świadkami tych wydarzeń przekonuje, że w neutralnej Szwajcarii miał miejsce nie jakiś przypadkowy incydent, lecz wielka polityczno-wojskowa operacja. Oznaczała ona początek odejścia Waszyngtonu i Londynu od polityki przymierza i sojuszu ZSRR.

Wiosną 1945 roku radzieckie siły zbrojne kierowały się już bezpośrednio na Berlin, ostatnią twierdzę upadającego Reichu. W tych warunkach szefowie Stanów Zjednoczonych i Anglii, którzy latami odsuwali otwarcie drugiego frontu w Europie, nagle wyraźnie zaczęli się śpieszyć. Chodziło im o to, aby za wszelką cenę ich własne wojska zajęły możliwie największą część Europy.

Wielką aktywność w tej dziedzinie wykazywał ówczesny premier brytyjski Winston Churchill. W swoich listach kierowanych do prezydenta USA Franklina Roosevelta wiosną 1945 r. przekonywał, że o ile nie udało się za pomocą t. zw. „wariantu bałkańskiego” (przewidywał on wysadzenie wojsk alianckich na Bałkanach i ich marsz w kierunku Sofii, Belgradu, Bukaresztu, Budapesztu, Pragi i Warszawy) zapobiec wyzwoleniu przez Armię Radziecką południowo-wschodniej, wschodniej

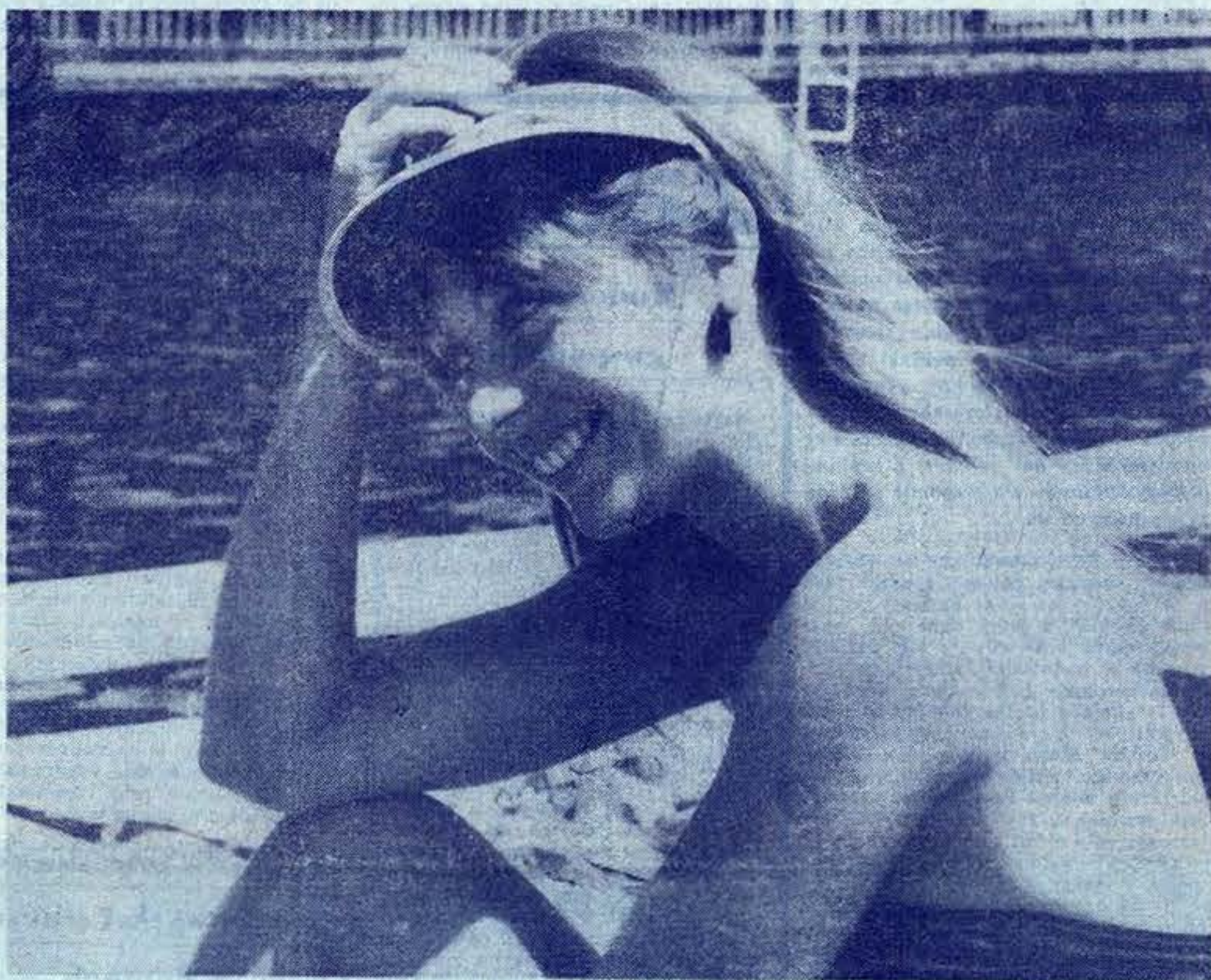
i częściowo środkowej Europy — to trzeba przynajmniej zająć w wyzwolonej Europie możliwie największe terytorium. „Istnieje jeszcze jedna strona sprawy — pisał wówczas Churchill do Roosevelta — którą Pan i ja powinniśmy rozpatrzyć. Armie rosyjskie niewątpliwie zajmą całą Austrię i wejdą do Wiednia”.

Z nieukrywanym strachem widział także premier brytyjski możliwość zdobycia Berlina przez oddziały radzieckie. Wynika to wyraźnie z dalszej części wspomnianego listu. Czytamy tam mianowicie: „Uważam, że przede wszystkim z politycznego punktu widzenia powinniśmy posunąć się w Niemczech jak można najdalej na wschód i jeśli tylko Berlin znajdzie się w zakresie naszych możliwości — powinniśmy go bez warunkowo wziąć”.

O tym samym mówił się także w oświadczeniu skierowanym przez Churchilla do głównodowodzącego siłami alianckimi w Europie gen. Eisenhowera w dniu 2 kwietnia 1945. Niejednokrotnie zwracał się on także w tym duchu do nowego prezydenta USA Harry Trumana, który objął to stanowisko 13 kwietnia

ciąg dalszy na str. 5

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



MAGDALENA WOLLEJO W CZASIE OSTATNIEGO LIF W ŁAGOWIE
Fot. T. Gawalkiewicz

Łagów 1986 — tyle nadziei, tyle zawodów, tyle rozczarowań... Sprzyjała tylko pogoda. Inne wieści są niepokojące.

Przyznaję, że z satysfakcją odczytałem zdanie W. Jaruzelskiego na X Zjeździe PZPR, by nie trwonić milionów na bezwartościowe filmy, gdy maleje ilość kin. Łagów był bowiem niemal doświadczą ilustracją powstania „chybionych filmów”, które nie są tworzone ani dla wzbogacenia skarbca polskiej kinematografii, ani dla masowego widza.

Co prawda lokalna prasa nieraz tego zdania zdumienie i jawną dezaprobatę, na jaką te filmy były narazone na nocnych seansach w amfiteatrze. Na siedem prezentowanych filmów — tylko JEDEN znalazł się nad poprzeczką, dwa na poprzeczce, poniżej trzy, a dwa osiągnęły jeden. Bilans zasmucający. Zaczniemy „od dna”. Były już w polskiej kinematografii filmy całkowicie nieudane, na przykład „Bicz Boży”, po premierze przezwany przez żartownisiów „Kicz boży”. „Cala naprzód” czyli „Chala naprzód” i wiele innych. Ale nie było jeszcze filmu gorszego niż „Ta nie pieniądź” Tomasza Lengrena. Załóżmy, że muszę to napisać. Na ekranie od początku biją się nieznani i o niewiadomą rzecz — ludzie. Później, gdy się ekran trochę rozjaśnia, widać fatalną tym razem, grę Krzysztofa Pieczyńskiego, Bogusława Lindy i innych. Dzieje się tak dlatego, że aktorzy pozbawieni zostali czegoś, co można by nazwać „scenariuszem”, reżyseria i twórczość postaci. Szkoda efektownych zdjęć Piotra Sobocińskiego, jak i budki telefonicznej oraz innych dóbr niszczonych przez Trele.

Z kolei trzy filmy — niestety poniżej poprzeczki. Blisko „średniego poziomu” znalazł się film Marka Nowickiego „Spowiedź dziecięcia wieku”. Zabrało motywację: dlaczego odżył przebrzmiały dawno Alfred de Musset? Dla czego romans, przerywany skokami w bok, jest tak nudny? Jakim cudem doświadczonego reżysera wybrał coś tak odległego od upodobań widzów? Nie pomagają cięściowo przekonujące kreacje aktorów, ani plejada nazwisk, skoro cały film kroczy obok, a widoczny wysiłek inscenizacyjny, połączony z fantazją reżysera, nie dał spodziewanych efektów.

Obok tego kalekalego dzieła młodego reżysera kroczy o wiele wystawniej i kosztowniej film tak zaskakujący, wspaniałego twórcy jak Wojciech Jerzy Has.

Nie można było dopatrzeć się celu powstania „Pismaka” (sam tytuł już odstraszał), ale absolutnie nie może trafić do krytyków, ani do widzów. Film

PO LUBUSKIM LECIE FILMOWYM

Leon Bukowiecki

„Osobisty pamiętnik grzesznika”, z tak bardzo niegrzesznym Piotrem Bajorem. Obraz oparty został na dwu dekoracjach (młyn rzeczywisty, młyn malowany), i nudy niemiłosiernie jednostajna akcja bez nerwu i bez point. Co zafrapowało Hasa w dyktetyce szkockiego pisarza, Jamesa Hogga, doprawdy trudno zgadnąć. Piękne i nagrodzone zdjęcia Grzegorza Kedzierskiego dobiły film, bo tylko zdjęcia było widać. Na początku widać też było wyrafinowane go Franciszka Pieczkę. Potem ziało pustką...

Trzeci wreszcie film to „Jezioro Bodeńskie” Janusza Zaorskiego, według Dygala. Twórca wybitnych filmów („Dziękuję panu” i „Baryton”) chyba pogubił się w prozie Dygala i powstała hybryda, w której sensu istnienia i działania czołowych postaci nie możemy absolutnie zrozumieć. Film rozczarowuje widza ceniącego dotąd reżysera Janusza Zaorskiego.

Po tych niewypałach przechodzimy do dwu filmów, które z różnych względów dotarły do poprzeczki, chociaż jej nie przekroczyły. Mówię o ciekawym debiucie Dominika Wiczorkowskiego — „Gra w ślepe”. Tytułowego ślepcę udał je Marek Walczewski, zaskakujący jak zawsze, zaś jakale kreuje Krzysztof Tyńiec, odkrył aktorów. Wiczorkowski ma niewątpliwie talent reżyserski, świetny też jest — nagrodzony — operator, Andrzej Jaroszewicz. Film z początku zagmatwany odnajduje swoją drogę w drugiej części i nawet zaskakuje. Później nie wychodzi z niedźwiedziej

z zacięciem. Czy film trafi do szerszej widowni, nie wiem, ale tego filmu nie można spisać na straty.

Oklaskami tłumnie zgromadzonych widzów został przyjęty nowy film Piotra Szulkinia, reżysera cieszącego się zaufaniem widowni, ale nie moim. Absolutnie nie rozumiałem ani przedziwnej

adaptacji „Golema”, ani jeszcze skrajniejszej „Wojny światów”, a już zupełnie nie przemówił do mnie „O-bi-O-ha — koniec cywilizacji”. W nowym filmie, o umyślnie dziwacznym tytule „Gaga-chwała bohaterom” Szulkin najwyraźniej chciał zrealizować jakby „Anty-seksmisję”. Powodzenie jest połowiczne. Do filmu wchodzi i elementy grozy, oderwanie całego ramienia żywemu „człowiekowi”, i elementy komediowe w świetnym wykonaniu Stuhra.

Ponadto oglądano najlepszą od lat kreację Daniela Olbrychskiego, a to też coś znaczy. Film — prosty w przebiegu, surrealistycznej akcji, ma prawo trafić do widowni, o czym świadczy reakcja w łagowskim amfiteatrze.

Film „Siekierazda” według Edwarda Stachury w reżyserii Witolda Leszczyńskiego, inauguruje przeglądy łagowskie i wzbudził nadzieje oraz apetyt. Później, niestety, niezaspokojone. Tak czy inaczej Leszczyński powrócił do wyważonego, oszczędnego, ale i poetyckiego stylu „Żywota Mateusza” i „Konopielki”. Zarzykował też kolor — doskonale zastosowany, dzięki pełnym prawdy i fantazji zdjęciom Jerzego Łukaszewicza. Mniejsza doskonałość obrazów nie rzucała się w oczy w filmie fascynującym, dobrze reżyserowanym, na ogół świetnie obsadzonym — gdyż owe obrazy tworzyły z pozostałymi elementami ideowymi i artystycznymi harmonijną całość.

ciąg dalszy na str. 4

Opinie i refleksje

Zjazdy partii - polityka międzynarodowa

Jest rzeczą naturalną, że partia, jako siła kierownicza naszego społeczeństwa, określa na swoich zjazdach zasadnicze kierunki polskiej polityki zagranicznej. Już PPR w swej znanej Deklaracji Programowej z listopada 1943 r. „O eo walczymy”, stwierdziła, że: „Przyszła Polska musi stanowić w gro nie narodów świata czynnik pokoju, żyć w zgodzie i przyjaźni z sąsiadującymi z nią narodami i z racji swojego geograficznego położenia być pomostem łączącym Wschód z Zachodem w braterskiej współpracy narodów Europy”. Również deklaracja ideowa Związku Patriotów Polskich uchwalona na I Zjeździe tej organizacji w dniach 9-10 czerwca 1943 r. (w którym miałem zaszczyt uczestniczyć) wysuwała obok hasła przebudowy życia polskiego na zasadach demokratycznych, także stosowne postulaty w dziedzinie polityki zagranicznej. Domagano się, aby wyzwolona Polska nie stała się „Igraszką w rękach obcych imperializmów” a oparła swe bezpieczeństwo na sojuszu z krajami demokratycznymi a szczególnie z Związkiem Radzieckim.

I Zjazd PPR, obradujący w Warszawie w pierwszej połowie grudnia 1945 r., w jedynym wówczas ocalałym sali, w kinie „Roma”, a który dane mi było bezpośrednio obserwować, uchwalił 12 grudnia w podniosłej atmosferze specjalną rezolucję polityczną stwierdzającą, iż „Polska Partia Robotnicza popiera politykę zbiorowego bezpieczeństwa w Europie”. Słowa te były jak gdyby prekursorami późniejszej polityki Polski, która wierna tym hasłom zawarłym również w Manifestie PKWN, (była przez cały okres swego powojennego istnienia, gorącym orędownikiem utworzenia systemu, gwarantującego trwały pokój naszego kontynentu. Mówiono o tym szeroko na Zjeździe Zjednoczeniowym w grudniu 1948 r. i w uchwalonej tam Deklaracji Ideowej PZPR.

II Zjazd partii w marcu 1954 r. powielał w swej uchwale, że „Polska nie będzie szczędzić starań, aby stała rozszerzać płaszczyznę współpracy między państwami”. III Zjazd PZPR (marzec 1959) a następnie IV (czerwiec 1964 r.) i V (listopad 1968) — apelowały o realny postęp w stosunkach międzynarodowych, o realizację zasad pokoju wego współistnienia i współpracy między narodami Europy i świata. V Zjazd partii (grudzień 1971) uchwalił specjalną rezolucję w sprawie bezpieczeństwa naszego kontynentu. Było to torowanie drogi ku Helsinkom a VII Zjazd PZPR (grudzień 1975) mógł już stwierdzić, że Polska wniosła do procesu KBWE swój wkład. Również VIII Zjazd partii (marzec 1980) mimo, że był zdominowany przez problemy ke rosnących już wówczas lawinowo trudności ekonomicznych i napięć społecznych, w ocenie sytuacji międzynarodowej trafnie wskazywał na konieczność zahamowania procesu odchodzenia od Helsinek i zadeklarował pełną gotowość Polski do udziału w tych poczynaniach.

Pamiętamy IX Nadzwyczajny Zjazd partii (lipiec 1981), mimo całej ówczesnej atmosfery i panującego w kraju rozdarcia społecznego, mógł on z całym uzasadnieniem stwierdzić, że w dziedzinie polityki zagranicznej naród polski jednomyślnie stoi na gruncie ochrony jaltajsko-poczdamskiego ładku pokojowego w Europie. Jeśli chodzi o ocenę ostatniego X Zjazdu partii, to ograniczę się tylko do najważniejszych — moim zdaniem — ujętych tam sformułowań, które w referacie Wojciecha J. J. ruzelskiego przypominały, iż żyjemy w przełomowym okresie historii a ogromne szanse stworzone przez geniusz człowieka rysują z jednej strony oszalałające perspektywy postępu a z drugiej — zawierają nieobliczalne, wręcz śmiertelne, zagrożenia. Koresponduje to w pełni ze znanym stwierdzeniem Michała Gorbaczowa, iż nie wolno dopuścić do wojny nuklearnej, albowiem rewolucja naukowo-techniczna, która tak ogromnie zwiększyła twórczość możliwości człowieka, równocześnie postawiła cywilizację na krawędzi samozagłady. Być albo nie być ludzkości i cywilizacji — oto jak przedstawia się dziś sprawa i zarówno XXVII Zjazd KPZR, jak i X Zjazd PZPR pokazały, że trzeciego wyjścia nie ma.

MICHAŁ HOROWICZ

BYĆ PATRIOTĄ I OBYWATELEM

Problemy kultury politycznej młodzieży od dłuższego już czasu znajdują się w centrum uwagi opinii publicznej. W równym stopniu interesują się tym zagadnieniem naukowcy, dziennikarze, jak i władze społeczno-polityczne.

Im wyższy poziom rozwoju społeczno-gospodarczego, tym ważniejszy staje się świadomy udział obywateli w do skonalen'u ojczyzny i socjalistycznego państwa. Prawdy powyższe, w odniesieniu do młodego pokolenia, nabierają wymiarów szczególnych, gdyż im to właśnie przypada decydująca rola w tych przeobrażeniach.

Wydarzenia sierpniowe 1980 r. ujawniły potrzebę weryfikacji ocen i poglądów, na temat oblicza obecnego młodego pokolenia, jego stanu kultury politycznej. Pokolenie lat 70-tych, wielokrotnie oskarżane o formalizm, o preferowanie wartości intymno-rodzinnych, o niechęć do wszelkiego publicznego działania, jawi nam się jako swego rodzaju fenomen polityczny. W wydarzeniach sierpniowych 1980 r. zaprezentowało się jako dojrzała siła polityczna chętna do wspólnych wysiłków, zintegrowana, stojąca się podparą słusznego robotniczego protestu.

Skoro tak, to już te dwa zaprezentowane oblicza współczesnego młodego pokolenia, winny być ze sobą skonfrontowane. Być może pod wpływem pogarszającej się sytuacji ekonomicznej kraju nastąpiło znaczne przewartościowanie postaw i aspiracji młodzieży, w kierunku ich „upolitycznienia”. Albo też takie aspiracje istniały już dawniej, ale ówczesny model uczestnictwa politycznego młodzieży okazał się fasadowym, nieadekwatnym do ich rzeczywistych potrzeb. Przez to nie tworzył właściwej płaszczyzny ich artykulacji.

Odpowiedzi na powyższe tezy mogą przynieść tylko gruntowne badania nad młodzieżą, badania ich postaw i aspiracji, szeroko rozumianej kultury politycznej. Sens podejmowania badań nad młodzieżą ma również i inne uzasadnienie. Formułowane są bowiem w różnych środowiskach opinie i oceny dotyczące postaw młodzieży, często skrajnie i nierazko przeciwstawnie. Kształtowanie pod wpływem wyrywkowej obserwacji bądź jednostkowych przykładów. Dla obiektywizacji tych ocen konieczne są systematyczne badania poglądów i postaw młodzieży. Dopiero na tej podstawie formułować należy sądy, oceny.

W trosce o obecną sytuację w rolnictwie, kierownictwo NSPJ zdecydowało o podjęciu „przedsięwzięcia w celu dalszego rozwoju poziomu kulturalnego chłopów społdzielców i życia kulturalnego na wsiach”. U podstaw tej decyzji leży przede wszystkim chęć zahamowania migracji do miast dzięki rozszerzeniu form spędzania czasu wolnego na wsi. Przewiduje się znaczne zwiększenie liczby imprez kulturalnych oraz możliwości działalności artystycznej ludności wiejskiej.

W celu poprawy sytuacji w zakresie siły roboczej na wsi, zamierza się tu przyciągnąć na stałe więcej młodzieży. W 1986 roku przewiduje się pozyskanie dla LPG 65 tys. absolwentów szkół, którzy osiedlą się na wsi. Obecnie podejmowane są znaczne wysiłki w celu ograniczenia migracji młodych ludzi do miast, a także zainteresowania młodzieży urodzonej w miastach zawodem rolniczym. Organizacja młodzieżowa PZPR stara się w sposób atrakcyjny przedstawić możliwości zdobycia zawodu w rolnictwie. Nauczyciele zachęcają w szkołach uczniów, ukazując im obiektywny obraz pracy w rolnictwie. Coraz więcej uczniów odwiedza rolnicze spółdzielnie produkcyjne, żeby bezpośrednio zapoznać się z pracą na wsi.

Nowe mieszkania w nowych i starych domach

Wszelchnonnie rozwija się budownictwo mieszkaniowe w NRD. W ciągu 15 lat przeszło siedem milionów mieszkańców poprawiło sobie warunki mieszkaniowe. Stało się to możliwe dzięki wybudowaniu 1,6 miliona nowych mieszkań i modernizacji lub rekonstrukcji 800.000 mieszkań w starej zabudowie. Równocześnie w celu zaspokojenia potrzeb socjalno-bytowych i kulturalnych ludności powiększono o 137.000 liczbę miejsc w przedszkolach i o 66.000 w żłobkach. Wybudowano ponadto 47.000 izb lekcyjnych i 2041 szkolnych hal sportowych. Powstały liczne kluby młodzieży. Rozwinięto sieć handlową na nowych osiedlach. Rozmach budownictwa wzrastał z roku na rok. I tak np. w ciągu ostatniej pięcioletki wybudowano 988.000 nowych mieszkań co stanowi prawie dwie trzecie piętnastoletniego dorobku w tej dziedzinie.

Podniósł się znacznie standard wielu mieszkań. Liczba lokali z własną łazienką wyposażoną w wannę lub prysznic podwoiła się od 1970 r. osiągając współczynnik 70 proc. W wc wyposażonych jest 68 proc. mieszkań. Przestrzeń mieszkalna przypadająca na jednego mieszkańca wzrosła w ciągu ostatnich 15 lat o blisko 6 metrów kwadratowych.

Plan modernizacji starych mieszkań wzrósł w br. o 100 proc. w porównaniu z r. 1981. 90 proc. robót modernizacyjnych i konserwatorskich wykonują istniejące w każdym powiecie wyspecjalizowane przedsiębiorstwa remontowo-budowlane.

Przy planowaniu robót remontowych pierwszeństwo mają reperatury dachów.

(Alfa)

Rośnie młody las

Niemiecka Republika Demokratyczna podobnie jak inne kraje europejskie dotknięta została rozmaitymi kłeskami leśnymi, które dziesiątkują drzewo stan. Leśnicy wspierani przez państwo starają się przeciwdziałać procesowi umierania lasów w rozmaitych sposobach. W r.b. posadzono w okresie wiosennym nowy las na areale przekraczającym 2200 hektarów. M.in. posadzono ok. 300 milionów młodych sosenek, świerczków oraz rosnących rozmaitych drzew liściastych.

Stosowane są w coraz szerszym zakresie odmiany mniej wrażliwe na gazy i dymy. Obok 55 szkolek leśnych materiał dostarczają również spółdzielnie rolnicze oraz spółdzielnie ogrodnicze.

Pracownicy szkółki leśnej w Zillbach (okręg Suhli) hodują drzewa, m.in. modrzewia i wesołota ziałochotna ad-

ny, a także propozycje form i metod kultury politycznej docierac można pewnie jej składniki.

Każdy etap rozwoju społeczno-gospodarczego i politycznego niesie ze sobą określone zmiany w świadomości społecznej obywateli. Każdy moment zaimanowania się tych procesów rozwojowych prowadzi do powstania określonych na strojów społecznych, które nie zawsze przybierają charakter nastrojów połączonych. Stąd, ażeby skutecznie przeciwdziałać nastrojom negatywnym, należy trafnie przewidywać możliwości ich powstania, należy dysponować odpowiednimi danymi na temat ich źródeł. Przewidywanie takie winno być oparte na znajomości stanu świadomości społeczeństwa, tak w skali masowej, jak i poszczególnych środowisk.

Chodzi zwłaszcza nie tyle o poznanie tylko niektórych elementów świadomości społecznej, co ogółu postaw, wartości i wzorów zachowań, określających wzajemne stosunki władzy i obywateli. Badania nad kulturą polityczną młodzieży, takie możliwości stwarzają, gdyż od tej diagnozy zależą wszelkie decyzje zmierzające do pozytywnych przeobrażeń w postawach tej znaczącej części społeczeństwa polskiego.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Zaodra

Modernizacja gospodarki

Na łamach pism specjalistycznych w NRD podejmowana jest w ostatnim okresie dyskusja na temat skutków społecznych zastosowania w coraz większym zakresie w gospodarce kraju najnowszych osiągnięć postępu naukowo-technicznego. Pisze o tym biuletyn informacyjny bońskiego ministerstwa ds. stosunków wewnętrznych (nr 5). Biuletyn podkreśla na wstępie, przytaczając wypowiedź członka KC NSPJ, Otto Reinholda, zamieszczonej na łamach „Berliner Zeitung”, że zmiany w strukturze społeczno-gospodarczej związane z modernizacją gospodarki narodowej „są zasadniczo inne to socjalizmowi aniżeli w kapitalizmowi”. Otto Reinhold, który jest jednocześnie rektorem Akademii Nauk Społecznych przy KC NSPJ — pisze dalej boński biuletyn — dodaje, że „socjalistyczna racjonalizacja” związana jest z poprawą warunków życia oraz pracy zatrudnionych osób. Jednocześnie wśród specjalistów nauk społecznych w NRD od dłuższego czasu toczy się dyskusja na temat problemów związanych z zatrudnieniem wielu osób niezgodnie z ich wykształceniem.

W wyniku zastosowania osiągnięć naukowo-technicznych następuje modernizacja urządzeń i automatyzacja procesów produkcyjnych, w coraz większym stopniu wykorzystuje się roboty techniczne i mikroelektronikę. Według wcześniejszych informacji opublikowanych w NRD, w gospodarce kraju wykorzystywanych jest już 45 000 robotów przemysłowych (biuletyn zwraca przy tym uwagę, że pojęcie „robot przemysłowy” w NRD używane jest w znacznie szerszym znaczeniu, aniżeli w krajach zachodnich i zalicza się do niego również m.in. częściowo tylko zautomatyzowane urządzenia). Najważniejszym elementem w produkcji przemysłowej maszynowej są urządzenia sterowane numerycznie. Jak pisał niedawno Centralny Instytut Informacji i Dokumentacji NRD — stwierdza boński biuletyn — około 1980 r. wszystkie instytuty i ośrodki badawcze kraju objęte zostaną jednolitym systemem informacyjno-komunikacyjnym, dzięki czemu usprawniona zostanie wymiana informacji naukowo-technicznej, w tym również z pozostałymi krajami RWPG.

(X)

Kłopoty z siłą roboczą na wsi

Coraz większa migracja ludności wiejskiej do miast NRD wywołuje zaniepokojenie. Dotyczy to przede wszystkim młodzieży, która coraz mniej zainteresowana jest pracą na wsi. Narzeka na to wielu przewodniczących rolniczych spółdzielni produkcyjnych (LPG). Skutki ucieczki ze wsi do miast widoczne są już dziś: wszędzie występuje brak siły roboczej. Od 1970 r. liczba zatrudnionych w rolnictwie NRD zmniejszyła się o 100 tys., do poziomu 884 tys.

Oznacza to, że w gospodarce rolnej NRD pracuje 10,7 proc. wszystkich osób czynnych zawodowo. Z tego powodu wszyscy odpowiedzialni za rolnictwo powinni stworzyć ludzom nowe bodźce do pracy na wsi i w związku z tym wspierać również „działalność społeczną i kulturalną na wsi”. Taką właśnie opinię wyraził wiceminister rolnictwa, dr Walter Richter na spotkaniu ze spółdzielcami w okręgu Naubrandenburg.

miany świerka. Dzięki odpowiedniemu zasilaniu, okres wyrastania młodych drzewek został znacznie przyspieszony. Niektóre odmiany przystosowane zostały do kamienistego gruntu. Inne rosną swobodnie na urwiskach.

(Alfa)

Zalaba

RFN a reaganowskie „wojny gwiazdne”

W Niemieckiej Republice Federalnej toczą się nadal ożywione dyskusje na temat podjętej już decyzji w sprawie przystąpienia RFN do amerykańskiego programu t.zw. „wojen gwiazdnych”. Jak wiadomo decyzja ta zapadła podczas pobytu ministra obrony USA Weinbergera w Bonn, kiedy to ogłoszono komunikat, iż „kanclerz Kohl i ministrowie obrony Stanów Zjednoczonych porozumieili się w zasadniczych sprawach co do warunków udziału RFN w amerykańskim projekcie strategicznej inicjatywy obronnej SDI”. (Tak eufemistycznie nazywa się amerykański program zbrojen kosmicznych). Jak pamiętamy, dla uczczenia tego „zapewniającego” pokój przedsięwzięcia obydwaj politycy obejrzeli wspólnie ćwiczenia czołgów amerykańskich i zachodniemieckich na wielkim poligonie w Grafenwoehr.

Obecnie w RFN rozgorzała na nowo dyskusja na temat przystąpienia Bonn do programu SDI. Zdecydowanie przeciwno tej decyzji wystąpiła opozycja SPD. Partia „Zielonych” organizuje sze rok fał protestu społecznego. Również jednak pozostająca w koalicji rządowej liberalna FDP negatywnie ustosunkowała się wobec przystąpienia Bonn do tego programu. Ludzie nauki i techniki otwierają kwestionując rzekome korzyści technologiczne, jakie RFN miała osiągnąć z tego przedsięwzięcia. Wskazują oni, że ściśła tajemnica wojskowa otaczająca badania prowadzone w tej dziedzinie nie sprzyja bynajmniej swobodnemu transferowi technologii.

Amerikanie oczywiście — przy pełnym poparciu CDU/CSU — kontratają w tej sprawie, wywierając ciagły nacisk na opinię społeczną i środki masowego przekazu w RFN. Tak np. — znany amerykański fizyk atomowy, zwany „ojcem bomby wodowej” a obecnie jeden z najgłośniejszych rzeczników programu „wojen gwiazdnych”, oświadczył wręcz wyraźnie dla tygodnika „Wirtschaftswoche”, że przemysł zachodniemiecki zapłaci słoną cenę zacofania technicznego, jeżeli nie poprze amerykańskiego projektu SDI.

Mimo tych nacisków, w RFN narasta fala protestów wobec wspomnianej decyzji. Wskazuje się mianowicie, że program SDI zwiastuje nową eskalację wysiłku zbrojeni i przeniesienia broni masowej zagłady do przestrzeni kosmicznej. Mówi o tym m.in. ostatnio ekspert rozbrojenia SPD Voigt. Wskazywał on, że faktycznym celem amerykańskiego programu t.zw. obrony strategicznej jest zniweczenie równowagi militarnej dwóch bloków wojskowych, co może prowadzić jedynie do dalszego niepowstrzymanego wysiłku zbrojeń. Wskazuje się także, że przystąpienie Bonn do projektu SDI może tylko pogorszyć stosunki RFN z krajami Europy Wschodniej, w tym także z NRD co na pewno nie leży w interesie Niemieckiej Republiki Federalnej. Argumenty te coraz bardziej trafiają do znacznej części opinii publicznej Niemiec Zachodnich.

(h)

Posłowie i wyborcy „drugiej kategorii”

Wyrok Federalnego Trybunału Konstytucyjnego RFN, oddalający skargę partii „Zielonych” przeciwko wykluczeniu jej z pewnych form pracy parlamentarnej w Republice Federalnej do

dejmowaniem elementarnych form demokracji parlamentarnej. Chodziło o skrócenie, o parlamentarny nadzór nad budżetem i działalnością tajnych służb Republiki Federalnej tj. wywiadu — (BND) Ochrony Konstytucji — VFS i kontrowiadu wojskowego — MAD, który realizowany jest w specjalnej i utajnionej postaci. Stuzi temu pięciodusowa komisja kontrolna. Ciaso to wyłaniane jest ze składu Bundestagu na zasadzie proporcjonalności, zwycięstwo reprezentowani są w jego składzie przedstawiciele wszystkich klubów parlamentarnych. W obecnej kadencji prawicowa większość zasada wyłaniania tego gremium ustalila w ten sposób, że CDU/CSU przypadły 3 miejsca a socjaldemokratom z. Chadey je jednak natychmiast odstąpiła jedno z swych miejsc współzadające FDR. Jedynym klubem parlamentarnym, który pozostał więc poza obrębem komisji byli „Zieloni”. Skargę tej partii, Trybunał konstytucyjny obecnie odrzucił, przy czym stwierdził w uzasadnieniu między innymi, że: „z nagłą wzięcie do ochrony tajemnicy i dobra państwa jest konstytucyjnie do przyjęcia, że pewne frakcje pozostaną nie uwzględnione w składzie komisji znającej najtajniejsze zagadnienia państwowe, lub mogące do nich mieć dostęp”. Orzeczenie to wywołało wiele zastrzeżeń. Przedstawi ciele „Zielonych” stwierdzili na konferencji prasowej, że wyrok Trybunału z Karlsruhe sankcjonuje praktykę, w której rządowa większość może spokojnie sama wybierać swych kontrolerów. Wyrok skrytykowała również opozycja na SPD stwierdzając, że decyzja reaganowskiego Trybunału Konstytucyjnego osłabia niezbędną kontrolę rządu przez parlament, oraz doprowadza do sytuacji w której deputowani do Bundestagu zostają podzieleni na dwie klasy. Ogranicza to nie tylko istotne prawa parlamentarnej mniejszości, gdyż stawa ra nie tylko deputowanych, lecz również wyborców drugiej kategorii — stwierdza oświadczenie — ten bowiem kto głosuje na mniejszościową partię jak np. „Zielonych” musi w przyszłości liczyć się z tym, że deputowani z jego wyboru nie będą w stanie swobodnie wykonywać swych prawnoconstytucyjnych funkcji kontrolnych.

(tema)

Niemcy wobec cudzoziemców

Socjologowie frankfurccy, Klaus Allerbeck i Wendy J. Hoag, opublikowali studium na temat stopnia wrogosci obywateli RFN do gastarbeiterów. Opiera się ono na ankiecie przeprowadzonej w 1983 r. wśród młodych Niemców, rocznik 1964-1967, uzupełnionej wywiadami z ich rówieśnikami wioskimi i tureckimi ze Stuttgartu, miasta o dużym udziale cudzoziemców, oraz z Fryburga, Karlsruhe i Heidelbergu, a więc z miast, gdzie gastarbeiterów jest stosunkowo mało.

Z badań wynika, że młodzi Niemcy najpozytywniej oceniają Francuzów, a potem Amerykanów, Brytyjczyków, Hiszpanów, Greków, Włochów, Jugosłowian, Turcy znaleźli się na końcu. Nastawienie do cudzoziemców wiąże się z poziomem wykształcenia i sympatiami politycznymi. Najniejzy ocenił Turków sympatycy CSU, najwyżej zaś sympatycy Zielonych. Akceptacja dla cudzoziemców wzrasta wraz z poziomem wykształcenia, przy czym należy mieć na uwadze fakt, że młodzi z niższych warstw społecznych częściej mają kontakt z gastarbeiterami, czy to w miejscu pracy, zamieszkania czy w lokalach rozrywkowych, co nie pozostaje bez wpływu na ich raczej negatywne nastawienie do obcych.

Badanie wśród cudzoziemców wykazało, że np. młodzi Turcy im dłużej przebywają w RFN tym bardziej od czuwają wrogosci otoczenia; zarazem jednak zmniejsza się ich pragnienie powrotu do rodzinnego kraju. Zdaniem autorów studium, to poczucie ziego traktowania jest silniejsze niż wskazywałoby nastawienie Niemców.

(X)



Czas płaczu męskiego, zadumy czas



Kiedy umierał Norwid
Zebracy w przytulach uczyli się jego wierszy
Chociaż nic z nich nie rozumieli
A w dalekim kraju załatwiano własne sprawy
Bo kim jest poeta wobec własnego dziedzina
Na którym trawa nie była tak soczysta
Jak trzy, cztery lata temu

Jego wierszami rozpalano ognie
Bo jakież to były poezje
I odbywały się bale
Nowo skrojonych toalet

Lecz nie ma kata, który zetnie pamięć

Plakałem
Nie wstydząc się płaczu
Jak nie wstydziłem się miłości
Bo nie jest ona rumieńcem na twarzy podlotka
A pojednaniem się ludzi
Plakałem długo w tę noc

W ostatnich oknach gasły już światła sennie
Noc podchodziła do nich spóźnioną godziną
Niosąc w dłoniach namiastkę snu
Cicho go kładła na powiekach domu
Później dookoła obchodziła dom
Jak dobry anioł
Czułem dotyk jej chłodnych dłoni

Gdy wzięła mnie w ramiona
Ujrzałem matkę

Wracała z zaświatów
Mówiła że ojciec nie żyje

Będę za tobą błdził wśród ogni świętojańskich
W noc najkrótszą, w krótkiej chwili mroku
Aż powodzią rozleje się brzask
A trawy zatopia się w ciężkiej rosie

Odnajdę cię zagubioną w krzewach ciernistych
Lub na dnie jeziora, które jest twoją twarzą

Będę nucił pieśń, która na ustach dojrzeła
Od wczoraj
Jak rajski owoc
Lub będę szedł do ciebie z sercem na ramionach

16. 07.1984

Otwieram oczy. Za szybą wysokiego okna strzela w niebo wysmukły świerk. Na czubku uschniętej gałęzi siedzi przemoczony wróbel. Obok rozczochrana kawka usiłuje wygłodzić zmierzwiłone pióra. Krople dżdżu ściekają po igliwiach, staczają się na gałązki i wąskimi kanałikami w popękanej korze pnia spływają ku ziemi.

Słyszę jak ktoś stęka. Chcę się obrócić i zobaczyć kto, ale przypominam sobie, że nie wolno. Co najmniej trzy godziny trzeba tak leżeć. Niech i tak będzie. Kładę głowę na materac i zapadam w drzemkę. Sni mi się, że jestem małym chłopcem i idę do szkoły. Matka zapina mi tornister na plecy, wkłada chleb opakowany w woskowy papier i daje ostatnie przykazanie na drogę.

Drzemka trwa chyba krótko. Ktoś lekko dotyka ramienia, potrząsa nim i mówi cicho:

— Panie, obiad. Niech pan je, bo zupa wystygła.

Trzy godziny minęły, więc chyba można się oprzeć na łokciu. Nic z tego, w kregosłupie coś strzyka. Ale dlaczego? Przecież nie bolało. Kładę się z powrotem. Ta sama ręka bierze łyżkę, nabiera zupę i delikatnie wlewa do ust. Nie mogę jeść na leżąco, krztuszę się.

Znowu zapadam w płytki sen. Słyszę wyraźnie, jak do sali wjeżdża wózek. Pewnie ktoś nowy. Wykręcam głowę. Tak. Wózek podepchnięty do łóżka i położono na nim nowego pacjenta. Twarz drobna, wychudzona, ciemny, niegłówny zarost.

Rozglądam się po sali. Z łóżka przy drzwiach gramoli się starszy, łysawy jeździec, powłóczy prawą nogą, ma też bezwładną rękę, mówiąc — belkoce niewyraźnie. Nazywają go „burmistrzem”. To chyba ze względu na jego tuszę i dostojny wygląd. Budzi szacunek.

Łóżko obok umywalki zajmuje drobny, czarniawy człowieczyna. Porusza się z trudem o lasce. Mówią na niego „lotnik”. Dlaczego? Ano dlatego, że już wkrótce ma odlecieć helikopterem do Poznania na operację kregosłupa. Operacji się nie boi, bardziej obawia się przelotu śmigłowcem.

— Panie, jak ja to wytrzymam? — pyta. — Jam przecież nigdy czymś takim nie leciał!

— Wytrzymasz pan, wytrzymasz. Najgorsze to pierwsze tysiąc kilometrów, a potem już idzie gładko — wtrącił się „prezes”.

„Prezes” to także osobliwa postać. Sam się tak nazywał, chyba ze względu na swoją posturę, bo waży grubo ponad sto kilogramów, a jest najmłodszy na sali. Jowialny, wesoły, zawsze tryska humorem, ale ciągle martwi się swoją nadwagą. Trafił na oddział przed dwoma dniami. Z telewizorem, radiem tranzystorowym, grzałką, kawą i mnóstwem różnych wiktuałów. Wiecznie utyskuje na korzonki i jakieś inne dolegliwości.

Po kolacji wylazę na papierosa. Szukam palarni. Jest obok, tuż za drzwiami na korytarzu. Cmię ukradkiem, ale i tak łapie mnie na tym doktor Ratajska. Wyczuwam, że pacjenci boją się jej. Ja też. Później okazało się, że ma jednak złote serce. Każdemu pragnie pomóc i robi co może.

— A pan co? — woła z daleka, patrząc jak gwałtownie tłamszę kipa w popielniczkę. — Przecież pan ma leżeć! Chowam się w sali. Tam obudził się ten nowy.

— Panie, czy pan pali? — szepcze i kiwa do mnie ręką.

Podchodzę i nachylam się nad nim. — Daj pan się sztachnąć.

— Tu się nie pali.

— Panie, nie wytrzymam. Daj pan chociaż raz się zaciągnąć.

— To puść cholero, jak nie wytrzymasz — woła ktoś z kąta. — Dopiero go przywieźli i już chce smrodzić.

SALA 130

Zenon Czarnecki

Rozglądam się: ach, to jeden z niepalących, których tu jest większość. Chory opuszcza głowę i udaje, że śpi. Chyba jednak zasnął naprawdę, bo po chwili słychać jego chrapanie. Po godzinie podnosi się, wstaje. Nogawki szpi talnej piżamy sięgają do kolan, rękawy do łokci. Wysoki, chudy, trzęsącymi się palcami sięga po podanego mu przez mnie papierosa i wychodzi do palarni. Idę za nim.

— Skąd pan przyszedł? — pytam.
— Z Ciburza.
— Co panu dolega?
— Mam trzęsączkę, ale lekarze mówią, że to nie jest padaczka.
— A palić panu wolno?
— Nie ma przeciwkazań.
— Hm...

Później poszedłem do kiosku, kupiłem mu pudełko papierosów i zapalnik. Po kolacji włączono telewizor. Leci transmisja z Mundialu. Ci, którzy mogą chodzić, sadowią się bliżej odbiornika. Nagle coś się dzieje. Skrzypią sprężyny łóżka, dudni materac. Odwracam głowę w prawo. Tak, to epileptyk rzuca się, sztywny, wyprostowany, jakby martwy, a jednak w ciągłych konwulsjach, aż wreszcie nieprzytomny spada na podłogę. Pacjent z brzuszkiem, który przyszedł z sąsiedniej sali na transmisję, zrywa się, chwytając drgające ciało i mocno przyciska do podłogi. Idę po pielęgniarkę. Z trudem dochodzę do otwartych drzwi dyżurki i wołam:

— Siostry! Pacjent dostał padaczki! Pielęgniarka, ta sama, która pocieszała mnie, że punkcja nie jest bolesna, nawet nie pyta o kogo chodzi. Bierze strzykawkę i naciąga z ampulki jakiś preparat. Chory już trochę spokojniejszy, leży pod łóżkiem. Po zastrzyku usypia. Trzeba go teraz ułożyć na posłaniu. Chwytałem więc łóżko i unoszę, ażeby inni mogli go wyciągnąć. Nagle coś strzyka w kregosłupie. Kładę się więc we własne bety.

Noc paskudna, ciągle boli, nie mogę spać. Idę do dyżurki, dostaję tabletkę przeciwbólową. Siostra zła, że zabrałem się do dźwigania łóżka. Ma rację.

Spoglądam w telewizor. Na ekranie widać stadion w dalekim Meksyku i drobne, zabiegane figurki graczy. Nagle... wrzask. Na trybunach peino angielskich chorągiewek. Tak, to Brytyjczycy wbili nam pierwszego gola.

— Do kitu z takim graniem! — krzyczy pacjent z brzuszkiem i zrywa się z krzesła. — Pojechali na wycieczkę czy co? Chcą wygrać mecz na stojąco?

— Daj pan spokój — tam upał jak diabli — wtrąca rzeczowo „burmistrz”.

— Upał przeszkadza wszystkim, Anglikom także. Tylko, że Anglicy potrafią grać w piłkę, a nasi co? Zwiedzą Meksyk i wrócą w aureoli bohaterów narodowych, chyba za to, że mieli w ogóle odwagę pojechać na Mundial. Ech, szkoda tylko pieniędzy na tych palachów. Partacze!

Machnął ręką i poszedł. Ktoś wyłączył telewizor.

Rano wizyta. Przychodzi cały areopag lekarsko-pielęgniarski. Zastępcę ordynatora już znam, jeszcze z izby przyjęć i z punkcji. To doktor Warias. Średniego wzrostu, z gęstą, szpakowatą czupryną i dorodną brodą, z lekkim, jak

gdyby zawieszonym uśmiechem w lewym kącie ust. Wygląda jak patriarcha. Nie bez racji Japończycy mówią, że człowiek z brodą budzi zaufanie u ludzi. Jest też lekarka, która wczoraj przepędziła mnie z palarni.



Fot.: Archiwum

Podchodzą do mnie. Pani doktor coś referuje lekarzowi, odzianemu w krótkie, eleganckie wdzianko, w niczym nie przypominające klasycznego, lekarskiego kitla. To ordynator, doktor Najdowski. Przegląda moją kartę chorobową, coś tam kreśli i wydaje suche zwężenie polecenia:

— Proszę pokazać język. Skręcić nim w prawo, w lewo... Wyciągnąć rękę przed siebie. Trafić palcem wskazującym prawej ręki do czubka nosa. A te raz lewym.

Prawym palcem trafiłem, lewym nie. Wizyta skończona.

— Kim jest ta pani z czarnymi, krótko podciętymi włosami? — pytam sąsiada z lewej strony.

— To siostra oddziałowa.

— A ten wysoki z brodą?

— Ten, to magister od gimnastyki re

— A pozostali?

— Nie wiem. Wszystkich, nie znam.

Wieczorem przywożą nowego pacjenta. Wysoki, krzepki, zylasty, twarz spaloną słońcem. Nic dziwnego, jest „naciągaczem”, pracował na wiertni gdzieś w okolicy Zaboru. Siostry chętnie pobierały mu krew i robiły zastrzyki, bo żyły ma jak okrętowe liny. Cierpi na bóle głowy. Stara to sprawa. Kiedyś spadł ze schodów i pękła mu czaszka. Teraz bóle powtarzają się coraz częściej, podobno po papierosach. Rzucił palenie, odtąd stał się małowolny i posępny. Przeważnie leży w półśnie z rękami pod głową i patrzy w sufit, milczący i surowy jak sfinks. Nie reaguje nawet na wizyty pielęgniarek, ale ożywia się na widok praktykantek uczennice czwartej klasy Zespołu Szkół Medycznych w

trów — zadrwił z niego sąsiad siedzący w wózku.

— To nic, szynka mi nie szkodzi, nie ma w niej ani grama tłuszczu.

— Baję, baję. Nie ma tłuszczu... To skąd ten twój brzuch?

„Dziś „prezes” idzie na punkcję. Boi się, chociaż nadrabia miną.

— Czy to bardzo boli? — pyta kogoś.

— O panie, igła do punkcji musi być odpowiednio gruba, odpowiada jeden z ozdowieńców, bo płyn mózgowo-rdzeniowy jest gęsty, więc — żeby go naciągnąć — kanalik w igle powinien mieć duży przekrój. Mnie to aż trzy razy kluli, zanim trafili w rdzeń.

— Idź pan do diabła! — krzyczę wściekły na ozdowieńca. — Sam pan miałeś „pietra”, a teraz straszysz ludzi.

Zielonej Górze. Jest ich kilka: Ania, Jola, Dorota, Ewa, Iwona, Ewelina... Wnoszą na salę powiew młodości i optymizmu. Są wrażliwe i życzliwe.

...W palarni, pomimo otwartych okien, gęsto od dymu. Siedzą tu lżej chorzy i gawędzą.

— Powiedział mi lekarz, że muszę schudnąć — mówi ten pacjent z brzuszkiem, który wczoraj piekł się na palarkę — bo pewnie mam otłuszczone nerki. Od jutra mam chodzić na gimnastykę.

— Jak ty chcesz schudnąć, skoro w szafce masz szynkę, wielką jak twój brzuch i co chwilę zjadasz po kilka plas

Zdenerwowałem się, chociaż mi nie wolno, więc mówię do „prezesa”:

— Nic się pan nie bój. To boli nie więcej niż zastrzyk domięśniowy. Miał pan kiedyś zastrzyki? No, więc... A punkcję robią nie gamonie, tylko lekarze. Oni są specjalistami i doskonale znają swój fach. Ja się też tak bałem, że pierwszy raz uciekłem z izby przyjęć, a gdy by nie doktor Warias, zwaiałbym pewnie i drugi raz. Później było dużo strachu, a ból nie większy niż po ukąszeniu komara.

Ciąg dalszy na str. 4

PO LUBUSKIM LECIE FILMOWYM

ciąg dalszy ze str. 1

Oto rzecz ciekawa: drwa Leszczyńskiego tego złopią przypominając postaci z filmu Lengrena, ale z jaką robią to fantazją, z jakim humorem, z jaką, powiedziałbym nawet — elegancją. Mi mo rubaszości Wystarczy spojrzeć na fizjonomię Ludwika Benoit czy Tadeusza Paka, aby uśmieć się setnie i nawet wzruszyć. Jednakże oprócz uroczego epizodu Jerzego Blocka — w filmie dominuje Edward Zentara, skupiony, ale i naturalny, konsekwentnie szukający swej drogi w życiu, rozdwojony pod kołnierzem filmu na dwie postacie (druga to słabszy Daniel Olbrychski), zabawny i tragiczny. Słowem — bardzo ludzki. Widz przywiązuje się do tej postaci tak, jak do Mateusza i jest wdzięczny Leszczyńskiemu, że wśród siedmiu zaprezentowanych filmów znalazł się jeden sprawiedliwy. Czym byłby Łagów bez „Siekierzady”, słusnie nagrodzonej „Złotym Gronem”?

Zapewniali mnie członkowie różnych komisji, że do Łagowa wybrano filmy starannie preselekcjonowane, a prawdziwą zapasę filmu polskiego wykazuje dopiero Gdańsk. Krzyżuję więc wielkim, lecz starym, gdyż skończyłem 70 lat, głosem: NIE. Po prostu nie wierzę w to, aby Gdańsk wykazał poziom równy Łagowowi — MUSI być lepszy. Głębo ko w to wierzę. Jeśli bowiem w Łagowie wśród siedmiu było jedno dzieło, które bez taryfy ulgowej można nazwać filmem, to czy wśród 21 filmów w Gdańsku mają być tylko takie trzy? W tym „Siekierzady”?

Nikt z nas nie jest na tyle naiwny, aby domagać się samych arcydzieł, a nawet dzieł znaczących, a nawet tylko więcej niż poprawnych („Yesterday”), ale nie zapominać, że w filmie klasycznym czy nowoczesnym musi być „story” (dobrze opowiedziana historia), „continuity” (zrozumiałe następstwo wypadków), a przede wszystkim jasna myśl przewodnia, abyśmy wychodząc z kina wiedzieli, co reżyser chciał nam powiedzieć i przekazać.

Bełkot — to nie mowa.

LEON BUKOWIECKI



Danuta Kowalska w Łagowie.

Fot.: T. GAWALKIEWICZ

ciąg dalszy ze str. 1

Trzeba się było zastanowić, jak to zmieścić. Funkcjonowała już ustawa o zniesieniu obowiązkowych dostaw i to był czynnik wprowadzający odrobinę optymizmu w gminne życie naczelnika.

Po nawiązaniu kontaktu z rolnikami (a tego — jak wspomina po latach — bał się naczelnik) musiał zdecydować o hierarchii potrzeb. Postawili na drogi ułatwiające łączność wsi gminnych z miastem. Udało się wtedy wybudować lub zrekonstruować, sieć komunikacyjną tak, że służy do dziś. Wszystkie drogi są asfaltowe. Wyjątek stanowi mały odcinek: Mierzyn — Pilka — Wiejce.

W tym „gminnym” okresie udało się Ratajczakowi nawiązać kontakt z dyrektorami jednostek gospodarczych. Jest tych zakładów sporo. Jedne, jak przetwórnia owoców i warzyw ZPOW, o tradycji i dorobku godnym Orderu Sztandaru Pracy II Klasy. Inne to tradycyjne, jak PROKOM, POM, „Transremo”, rolniczy zakład doświadczalny w Gorzynie, czy KPRB, Kierownictwa tych zakładów, załogi potrafiły wykorzystać sprzyjające warunki dekad lat siedemdziesiątych: rozumnie odbudowywały bazę, wymieniali w 70-80 procentach sprzęt, maszyny, wyposażenie. Każdy z tych zakładów ma własny udział w rozwoju Międzychodu.

Szybki, „menadżerski” kontakt Ratajczaka z szefami wspomnianych zakładów spowodował, że Urząd Gminy przechwycił duży potencjał wykonawczy, a ponieważ w tamtych latach — podobnie, jak i dziś — wygrywał zawsze ten, kto szybko zagospodarowywał dostępne środki finansowe, zdarzało się często przesuwac fundusze powiatu do gminy, gdyż nie potrafiło ich wtedy spożytkować powiatowe miasto. Potem proporcje się odwróciły, bo gminę połączono z miastem, a Ratajczaka mianowano naczelnikiem Miasta i Gminy.

MIĘDZYCHÓD BYŁ:

bez kanalizacji, bez wody, bez gazu, bez infrastruktury, zapewniającej perspektywy rozwoju. Co prawda, prawa miejskie otrzymał przed 1400 rokiem, ale w 1976 roku nie miało to specjalnego znaczenia.

Przez wieki był miastem prywatnym, o charakterze rzemieślniczo-handlowym. W XVI wieku znaczącym ośrodkiem protestantyzmu. W 1793 roku znalazł się w zaborze pruskim. Wiek XIX nobilituje miasto do rangi powiatu. W 1920 roku wraca do Polski, stając się miastem przygranicznym. Granica państwa przebiegała wtedy cztery kilometry za Międzychodem we wszystkich trzech kierunkach: północ — Sowią Góra, zachód — Gorzów, południe — też granica... Kresy... Po wojnie przynależność do Poznńskiego, aż do czasu reformy administracji w 1975 roku. I wtedy alians z Gorzowem, wymuszony, a dziś procentujący osiągnięciami.

Dzięki poznańskiemu rodowodowi mieszkańcy Międzychodu odziedziczyli wysoką dyscyplinę społeczną. Wyraża się to m.in. podatkami, które społeczeństwo miejscowe płaci terminowo i bez konfliktów. To obywatelskie poczucie odpowiedzialności, dyscyplina w zakre-

sie pracy i zobowiązań, przestrzeganie prawa, ma swój rodowód z Wielkopolski.

Przez zmianę województw z poznańskiego na gorzowskie, Międzychód wygrał największą szansę: rozpoczęto wtedy „szerokim frontem” — jak mawiają urzędnicy — „inwestycje na kilku odcinkach”. Inwestycje mieszkaniowe i komunalne. Znakomite inwestycje w służbie zdrowia. Inwestycje w świadomości społecznej że „jak się chce — to można zdziałać wiele”. Inne miasta i gminy w Gorzowskim dopiero się organizowały, rozpoznawały nowe możliwości. Międzychód spostrzegł się najszybciej.

„Wykopki” w centrum miasta trwały kilka lat i szybko stały się tematem prasowych przytyków, skarg. Turysty traktują Międzychód jako doskonały punkt

dzwy. Po nauce z piaceniem odsetek żaden naczelnik nie zaryzykuje, nie po goni wykonawcy, nie mając pieniędzy.

Naczelnik Ratajczak myśląc i mówiąc o sprawach Międzychodu zaczyna zdania od „myśmy”. Nadzwyczaj często spotykane „Ja”, w ustach Ratajczaka brzmi „My”. Brzmi dumnie: „Myśmy przechowywali wszystkie te inwestycyjne szanse, szybką organizacją, sprawnym przygotowaniem dokumentacji, zapewnieniem — jeszcze przed środkami finansowymi — wykonawstwem”. Tak się budował np. szpital. Najpierw jeden oddział: nowa chirurgia. Potem internia. A ostatnio znakomity oddział dziecięcy. Szpital, który potrafi służyć pacjentom z całego byłego powiatu, ale też z rejonów poznańskich: z Chrzypiska, Sierakowa, Kwilcza. Rady narodo we tych miast podjęły uchwały, aby

Sila przebicia

wypadowy w lasy Puszczy Noteckiej. Oni narzekali najbardziej. Narzekali też ci, co chcieli zażywać kąpiele słonecznych i wodnych nad miejskim jeziorem. Przez ulice przejść się nie dawalo.

„INWESTYCJE NA KILKU ODCINKACH”

Z kłopotami — bo z kłopotami — zakończyli inwestycje w ciągu trzech lat. Podstawowa kanalizacja, zwana sanitarną, jest już zbudowana. Czynniki Kosztowała bardzo dużo, nawet w owym czasie. Teraz kosztowała by znacznie więcej. Podobnie wzrosły koszty budowy stacji uzdatniania wody i sieci wodociągowej, ale te inwestycje również w Międzychodzie już ukończono. I są to najbardziej odczuwalne udogodnienia, bo w mieście uprzednio było szam bo przy szambie. Studnie podsiakały. Pilo się wodę z kamieniem. Wielu ludzi chorowało na nerki. Teraz jest wo da jak kryształ! Poprawiła się sytuacja sanitarna w mieście.

Kosztów około stu milionów złotych udało się — nie bez wysiłku i zabiegów — „załatwić” gaz z magistrali po liskiej i rozprowadzić go po mieście. Dziś 70 proc. mieszkań w Międzychodzie ma gazowe kucharki.

„Wykopki” się jeszcze nie kończą. Centrum powraca do ładu, ale boczne uliczki właśnie teraz są podłączane do sieci wodociągowej, kanalizacyjnej i gazu wej. Naczelnik jest już tym nieco zniecierpliwiony, podobnie jak mieszkańcy. Niestety: tempo prac uciążliwe jest od mocy przerobowych i od... pienię-

wejsz w strefę opieki międzychodzkiego szpitala. Szpital ma swoich „ojców chrzestnych”: dyrektora ZOZ, Jana To małego i jego zastępcę, Stefana Mamzera. W roku czterdziestolecia powrotu Ziemi Zachodnich i Północnych do Macierzy otwierano w Międzychodzie ostatni, czwarty oddział szpitala: reumatologii czny. Takiego szpitala nie powstydziło by się żadne miasto wojewódzkie!

CIĄGLY NIEDOSYT

Tak wiele działo się w Międzychodzie w minionym czterdziestoleciu, ale pamięć ludzka jest krótka i gdy nadszedł sienny rok osiemdziesiąty, pierpień, a potem miesiące późniejsze, serce nerwów i wzajemnych oskarżeń, zna leży się tacy, co i w całym próbował dziury znajdować. Oskarżali: „coż oni takiego w tej Polsce Ludowej zrobili?”. I to „oni”, jak również ironiczny akcent w słowie „Ludowej” brzmiało gorz ko. Bolało.

Choć Ratajczak i jego towarzysze chodzili wówczas na zebrania do zakła dów pracy gdzie była również „Solidarność”, przedstawiali dorobek — nie wszystkich przekonywały ich argumen ty. Zapomnieli niektórzy, że jeszcze nie dawno mieszkali w norze, a teraz mają ładne mieszkania na osiedlu spółdzielczym. Wiedzieli tylko, że czeka się w Międzychodzie na mieszkanie lat dzie sięć. Ale to, że przybyło w czasie trzy nastoletniej już „kadencji” Ratajczaka około pięćset sześćdziesiąt mieszkań... to, że jedna trzecia mieszkańców mia sta ma nowe mieszkanie nie docierało do niektórych.

W Międzychodzie nowe mieszkania buduje się w miejsce starej zabudowy, czyli trzeba wyburzać, wyprowadzać z miasta rolników, trzeba przekwaterować. Zamiast stu pięćdziesięciu latni budynków powstają nowe bloki, ale „uzytek” jest niewielki. Mieszkań przy bywa niewiele. Dlatego tak wielu indy widualnych śmiałków podejmuje próbę budowy. Rocznie przybywa około trzy dzieści domków. Ludzie budują się, wykorzystując lokalne materiały: kręca pustaki, robią „emki”, zwożą żwir, żu żel, piasek.

Sporo zrobiono w budownictwie mieszkaniowym w latach 78—80. Teraz zno wu nastąpiło ożywienie. Prowadzone jest budownictwo komunalne, ale przede wszystkim spółdzielcze, i to w du żym tempie. Jest nadzieja, że okres wy czekiwania na mieszkanie będzie się skracal. Powaznym przyczynkiem do tego będzie wybudowanie w latach 1986—87 ciepłowni, która ogrzeje pół miasta. Już się buduje pięć bloków, aby do tej ciepłowni podłączyć. I chociaż poprawiają się warunki życia, to ci, oczekujący narzekają.

Problemy rodzą nowe problemy. Cią gli niedosyt, ciągłe narzekanie może być motorem postępu. Pod warunkiem że jest nadzieja i są siły dla rzeczywistniania postawionych celów. Takimi nowymi celami są międzychodzkie szko ly. Szkolnictwo średnie prezentuje niezły poziom i ma nienajgorsze warunki. Obok zespołu szkół ekonomicznych, technikum rolniczego i zespołu szkół za wodowych, tylko liceum jest szkołą sta rą, najstarszą w województwie. Gorsza jest sytuacja w szkolnictwie podstawo wym.

Program tworzenia szkół gminnych, a także duża migracja ludności do mia sta, stworzyli problem dwumianowos ci. Szkoły są zbyt małe. Zawiązał się Komitet Narodowego Czynu Pomocy Szkole, który pragnie rozbudować obie międzychodzkie szkoły podstawowe. Na czelnik Ratajczak, wspominając o spr awach szkół, o znakomitej bazie przed szkolnej, mówi o zasługach inspektora Adama Nowaka, który swoim doświad czeniem ogromnie przyczynił się do roz woju miasta.

Zmieniał oblicze Międzychodu liczni obywatele, kolektywy instancje partyjne, radni. Oni wszelkie inicjatywy wspierali, ale zawsze byli tacy, którzy osobiscie się angażowali w sprawy mia sta. Wszyscy ciepło mówią o dyrekt orze Kazimierzu Myszkowskim z ZPOW, byłym przewodniczącym WRN. Ale tak że o Zbigniewie Koszyca, emerytowa nym dyrektorsze POM-u. Też dyrektor KPRB Henryk Pech sporo uczynił, aby Międzychód był piękniejszy.

Trzeba pamiętać, że nie tylko dyrek torzy zmieniali i budowali miasto. Kształt Międzychodu stawał się coraz ciekawszy, atrakcyjniejszy dzięki lu dziom, których dziesiątki nazwisk wy mienia w rozmowie naczelnik Rataj czak. Nie sposób wymienić tych naz wisk w jednym artykule. Z takimi — jak mówi — „wspaniałymi” ludźmi, pracuje Roman Ratajczak, który już wie, kiedy może zacząć straszyć widmo odsetek. I o którym mówią: ma silę przebicia...

JERZY CHŁODNICKI

ciąg dalszy ze str. 3

Wieczorem przysiadła się do mnie „lotnik”. Jest jakiś smutny, więc usiłuję go rozweselić.

— Gdzie pan mieszka? — pytam.
— W Niedoradzu, ale nie w samej wsi, tylko przy przejeździe kolejowym.
— To jesteście pan dróżnikami?
— Ojciec był, ja już nie. Dojeżdżam do roboty do „Zastalu” w Zielonej Górze.
— Pociągami?
— Tak.
— Toś pan miał kawał drogi do stacji?
— Szło się wzdłuż torów, to było bliżej. Latem to jeszcze, jeszcze, ale naj gorzej zimą. Śnieg, mróz, zadymki i zas py. Noc wyganiała i noc przyganiała.
— Nie bał się pan?

— Czasem bywało straszno. Raz ugrzęzłem w zaspach i nijak nie mogłem trafić do torów. Patrzę i patrzę, bo za mieć była okrutna, aż tu nagle widzę ogniki jakieś latają sobie po polach. Śnieg pod samą brodę, a nad nim świa telka. Czuję, że one ciągną mnie wyraźnie za sobą. Nie mogę iść, gdyż śnieg duży, ale muszę, bo one tak chcą. Nie tylko świetliki, myślę. Opowiadał mi kiedyś dziadek, że dawniej takie by wały, ale żeby teraz? A jednak...

Na sali zrobiło się cicho. Chorzy wsłuchują się w ledwo dosłyszalny szep ot opowiadającego.
— I co dalej? — pytam.
— Nic. Doszedłem z tymi świetlikami do torów, a potem już do stacji.

— To pewnie światła parowozu pan widział, a nie jakieś tam świetliki — wtrącił „burmistrz”.
— To nie były światła parowozu. Pa rowóz świecił równo i prosto, a te świa telka latały po polach i kręciły się w różne strony.

— W oczach się panu kręciło.
— Ech, — machnął ręką „lotnik” i poszedł do palarni.

Lecz rozmowy nie ucichły, bo pojawił się nowy pacjent.

— Z Łagowa jestem! — wykrzyk nał.
— Z Łagowa? Z którego? — zapytał ktoś ciekaw.
— Z tej „Perii Lubuskiej” — zaśmiał się.
Jego tubalny głos dudni w sali jak echo odbite od tatrzańskich turni.
— Toś pan pewnie „sołtys”? — zapytał „prezes”.
— Dla was mogę być i „sołtysem”.
— Nie bardzo coś pan na chorego wy

Iwona przyprowadza instruktorkę.

— No, wkluwają się, spokojnie, bez tremy. Patrz, pacjent ma takie ładne żyły.
— Teraz Arleta już bez obawy robi za strzyk. Kiedy odeszły, „nafiarcz” powiada:
— To było dobre.
— Co było dobre? Zastrzyk? — py tam.
— Nie zastrzyk, tylko to, że aż tyle młodych dziewczuch zebrało się przy mnie.
— Czeka pan, powiem żonie — mru

sumów na sznurek nie wyciągałicie.

— Żebym tak zdrowy był, jak to nie prawda. Kiedyś na taki właśnie sznu rek złapało się ogromne „bydle”. Sum był tak wielki, że aż czterech chłopów musiałem wołać do pomocy, żeby go wyciągnąć na brzeg. Morda u niego jak pysk rekina, że i cały człowiek mógł tam się zmieścić.

— A czy „sołtys” widział kiedyś re kina? — zadrwił „burmistrz”.
— Nie. Ale pan też nie widział.
— Nie widziałem.
— To i czego? Nie mogę sobie poró wnać? Czytałem przecież, że rekini jest podobni do suma.

...Od rana przybyskuje słońce. Wiatr szarpie i rozzagania olowiane chmury, i za oknem błękitnieje czyste niebo. Je żeli taka pogoda się utrzyma, po obie dzie idę na krótki spacer.

Wymykam się bez wiedzy lekarzy i pielęgniarek. Powietrze jest czyste i aromatyczne. Obchodzę dookoła szpitala. Pod koniec spaceru czuję zadyszkę. Wieczorem mam już ból w okolicy mostka. Szukam pielęgniarki. Dyżur ma siostra „uśmiechnięta”, drobna, sympatyczna brunetka, która natych miast ściaga lekarza dyżurnego. Spro wadza ją też wózek „ekg”. Robią mi elektrokardiogram, mierzą ciśnienie, le karz osłuchuje serce.

— Niech pan usiadzie... — powiada. Siadam. W głowie szum. Nie poznaję lekarza, chociaż twarz wydaje mi się znajoma. Pochyliła się nade mną, coś mówi, o coś pyta, ale ja nie bardzo wiem, o co chodzi. Ja też zadaje pyta nia i też nie wiem, o co mi chodzi.

Wreszcie cisza... Za chwilę wraca sio stra.
— Proszę rozluźnić mięśnie — mówi prawie szeptem — Dostanie pan za strzyk na uspokojenie i wkrótce pan zaśnie.

Zapadam w sen. Ale budzi mnie ja kiś gwar na sali i głośny ryk telewizora.
— Co tam? — pytam.
— Nic, nic... Niech pan śpi. Brazylj jczy strzelił naszym drugą bramkę — słyszę czyjś oddalający się głos.
Rano budzę się wcześnie. Za oknem pyszni się w słońcu stary, znajomy świerk. Nie ma już na nim przemoknię tego wróbla i rozczochranej kawk. W Parku Tysiąclecia śpiewają ptaki.

ZENON CZARNECKI

SALA 130

glądasz? Ręce i nogi zdrowe, gadka bez zarzutu. Humor też dopisuje...

— Teraz to już w porządku, ale było kiepsko. Oglądałem telewizor jak mnie ciepło pod stół. Nieprzytomnego i sp aralizowanego zabrało mnie pogotowie do szpitala w Świebodzinie. Stamtąd do Zielonej Góry na „erke”. Teraz jestem u was. To dobrze, bo na „erke” smut no jak półtora nieszczęścia.

Wrócił „lotnik”, jakiś markotny. Bez słowa położył się na łóżku.

— Coś pan tak posmutniał? — zapytał rozbudzony nagle „nafiarcz”.
— Znowu kogoś wywieźli.
— Jak to wywieźli?
— Zwyczajnie, w prześcieradle.
— Pewnie z separatu?
— A skąd by?

Zapanowała cisza. Każdy przegryzał coś we własnych myślach. Nawet nikt nie zauważył, że do „nafiarcz” podeszły Arletka i Iwona. Arletka ze strzy kawką w rękę, a Iwona z gumowym wężykiem. „Nafiarcz” położył się i po dał prawe ramię. Iwona zwinęła wę żyk, żyły nabrzmiały, ale Arleta stoi i patrzy.

— Biegnij po instruktorkę! — krzy czy do Iwony.

— Wkluwaj się! Na co czekasz?
— Nie, musi być instruktorka.

czy, usypiając „prezes”.

— To pan mow.

...Doktor Ratajcska robi mi miłą niespodziankę. Uśmiecha się:
— Dziś przyjdzie do pana doktor Fe lisiak. On leczy pana w przychodni za kładowej, prawda? Dzwoniłam dziś do niego na oddział wewnętrzny. Powie dział, że przyjdzie pana zbadać.

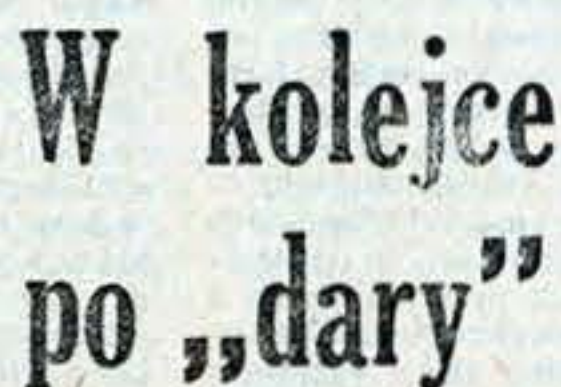
Doktor Felisiak przyszedł wieczorem.
— Tu macie chociaż dużo powietrza w tej sali — powiada. — No a co z pa nem? Jak tam serce?

— Nie najlepiej. Ciągłe kołace.

Po zbadaniu, lekarz ustalił, że dalsze leczenie serca będą odbywał w przycho dni internistycznej. Zostałem podbudo wany psychicznie, a to dla pacjenta wie le znaczy.

„Ja w Łagowie mieszkam nad sa mym jeziorem! — grzmi nagle „sołtys”. — Gdybyś pan stanął na dachu moje go domu i rzucił spinningiem, ta ani chy bi trafisz do wody. Teraz to już nie, bo turyści ryby wypłoszyli, ale dawniej tom ja całe kosze ryb wyciągał, i to na wet nie na żadną wędkę. Zwykły sznu rek wiazałem do kija. Brało wszystko: płocie, karpie, szczupaki, węgorze, a na wet sumy.

— Nie bredzcie „sołtysie”, nie bredź cie — przerwał „prezes”. — Już tam



Zagadka wyjaśniła się następnego dnia rano, gdy na „plac PZMot” wjechał traktor, ciągnący olbrzymią kontenerową przyczepę „TIR — Transeuropa”. Przyczepa

Przyjdą więc po dary, zgodnie z listą i zobaczą zęby darowanego konia. Zęby sprochniały.

EWA FOSS

Ciąg dalszy ze str. 1

Pierwsze kontakty pomiędzy Amerykanami a dowództwem Wehrmachtu w północnych Włoszech nawiązane zostały w końcu lutego 1945 r. Ze strony niemieckiej uczestniczył naczelny dowódca SS i policji we Włoszech gen. Karl Wolf a ze strony amerykańskiej Allan Dulles i jego współpracownicy. Pierwsze spotkanie pomiędzy Dullesem a Wolfem odbyło się w Zurychu 8 marca. Wolf przyznał, że Niemcy wojnę już przegrali i dlatego stawianie dalszego oporu wojskom zachodnim aliantów jest bezcelowe i bezsensowne. Zapropował więc, aby wojska niemieckie we Włoszech połączyły się z oddziałami anglo-amerykańskimi i wspólnie przeciwstawili się przyniknięciu Rosjan do południowej Europy. Dulles z zainteresowaniem wysłuchał tej koncepcji Wolfa a nawet powiedział SS-owskiemu generałowi, że nie wyklucza się udziału w kierowaniu losami południowej Europy również reprezentatywnych przedstawicieli Rzeszy. W wyniku rozmów prowadzonych w Zurychu i połączonych im tam obietnic Niemcy znacznie ograniczyli swoją wojskową aktywność w północnych Włoszech i za-

Oczywiście takie stanowisko sojuszników wywołało usprawiedliwione niezadowolenie w Moskwie. Odmowa dopuszczenia przedstawicieli radzieckich do udziału w rozmowach bernejskich – *zwłaszcza w sprawie rządu ZSRR* – jest dla nas całkowicie niezrozumiała. Katego-

Próby rozbiicia jedności sojuszników w ostatnim etapie wojny nie udały się a w planach ich pokrzyżowania nie-mała zasługa przypada bezimiennym często bohaterom „cichego frontu” — ofiarnym pracownikom wywiadu radzieckiego.

MICHAŁ HOROWICZ

(dokończenie)

Józef Lipnicki wyjdzie na wolność w roku 2010.

KATARZYNA KRZYWONOS

Był piewca przyrody ojczyjst, jej wybitnym znawcą, leśnikiem-hodowcą i polskim Nesrodem. Po 1945 r. przylgnął doń określenie: filozof przyrody, poeta przyrody, pisarz o czystym spojrzeniu. Ale nade wszystko Korsak kochał przyrodę, a przez nią człowieka jako jej integralną część. Nie była to jednak miłość tylko instynktowna, ale racjonalna i głęboko humanistyczna. Ukazywał jej bogactwo i piękno w literaturze, na fotografii a także na rysunkach wykonywanych techniką — czarnym i kolorowym tuszem.

Wierny do końca życia słowom: „Kto pokocha przyrodę nigdy nie będzie nienawidził człowieka”. Od chłopców lat, aż do śmierci, przyroda była największą pasją jego życia i największą jego miłością. Wrażliwy na jej piękno, harmonijnie łączył pracę zawodową z twórczością i działalnością społeczno-kulturalną. Był literatem, plastykiem, przyrodnikiem i myśliwym, a także współtwórcą ruchu ochrony przyrody w PRL. Autor „Pieśni puszczy” zasłużył się również dla rozwoju nowoczesnego łowiectwa w naszym kraju.

PIEWCA PRZYRODY

Twórczość Korsaka, przeznaczona dla młodzieży i czytelnika dorosłego, jest bogata i różnorodna w swym kształcie artystycznym. Składają się nań: beletrystyka, prace popularnonaukowe, obrazy, rysunki i fotografie.

Ogółem wydał Korsak 13 książek. Niektóre z nich były drukowane w fragmentach w prasie. Napisał też przedmowę do monografii myśliwskiej Jerzego Dylewskiego „Lis” (1932). Nie sposób wymienić tu tytułów nowel i gwałów opublikowanych w czasopiśmie.

Ważną pozycję w dorobku pisarstwa Korsaka stanowią artykuły popularnonaukowe, ukazujące wyniki jego długoletnich badań naukowych. Kilka z nich ukazało się w prasie francuskiej. W czasopiśmie „Chronimy Przyrodę Ojczyzn”, opublikował Korsak „Notatki ornitologiczne z ziem zachodnich” (1968 nr 2).

Ostatnimi większymi dziełami pisarza są nie opublikowane jeszcze tomy wspomnień: „Minione lata” i „Zamknięta księga”, ilustrowane archiwalnymi fotografiami z czasów, kiedy był on Wielkim Łowczym RP.

Literacki i popularnonaukowy nurt twórczości Korsaka dopełnia około siedem tysięcy fotografii oraz rysunków i obrazów o tematyce przyrodniczej. Stosował Korsak różne techniki: akwarele, ołówki, kredki, czarny i kolorowy tusz (rysunki piórkowe). Jego zamiłowanie do rysunku i fotografii rozwijało się równoległe z pisarstwem. Malował od 1901 r.

Większość rysunków i obrazów wykonał piórkami i kolorowymi tuszami, a więc techniką bardzo żmudną, wymagającą subtelnej i pracowitej faktury. Do najbardziej udanych prac wykonanych tą techniką należą wizerunki zwierząt puszczańskich, pejzaże i kolorowe winiety. Rysunki kreskowe Korsaka nadawały się doskonale do ilustracji książek.

Trzecia, obok pisarstwa i malarstwa, pasją Korsaka była fotografowanie przyrody. Zanim zaczął posługiwać się teleobiektywem, zdołał już zrobić kilka fotografii, mających wartość naukową. Najczęściej posługiwał się aparatem fotograficznym marki Leica. Jak jeden z pierwszych badaczy sfotografował zimorodki i tokujące guszcze. W okresie II wojny światowej zrobił kilka zdjęć rysia. Z okresu dwudziestolecia międzywojennego zachowało się kilkanaście fotografii z wielkich reprezentacyjnych polowań mających dla niego wielką wartość archiwalną. Jego zdjęcia były często ilustracjami tekstów zamieszczonych w „Łowcu Polskim” i zdobyły okładki tego pisma. Obrazy i fotografie Korsaka eksponowano na licznych wystawach indywidualnych i zbiorowych przed wojną (Wilno, Warszawa, Lwów, Poznań) i po wojnie (Warszawa, Poznań, Zielona Góra, Gorzów Wlkp.).

Większość fotografii, rysunków i obrazów Korsaka uległa jednak rozproszeniu. Stosunkowo dużo zachowało się w postaci reprodukcji w czasopiśmie, z którego korzystał. Warto pamiętać, że Korsak należał do nie licznych pisarzy, ilustrujących własne teksty.

Wiele nie opublikowanych prac Korsaka znajduje się w zbiorach specjalnych WIMBP im. C.K. Norwida w Zielonej Górze, w Muzeum w Gorzowie i

innych placówkach, także u osób prywatnych.

O wszechstronnych zainteresowaniach pisarza świadczą prace o charakterze filozoficznym: „Idźmy wzwyż”, rozbiór niektórych dzieł F. Chopina, „Akordy szopenowskie”, tłumaczenia z M. Gorkiego oraz obfita korespondencja z wybitnymi uczonymi, m.in. z prof. Władysławem Szaferem, fizykiem Andrzejem Soltanem, malarzem i pedagogiem Karolem Homolacem.

Za swoją twórczość literacko-plastyczną oraz działalność przyrodniczo-łowiecką i kulturalno-oświatową otrzymał Korsak szereg dyplomów, wyróżnień, medali i odznaczeń państwowych.

Problematyka utworów Korsaka wywodzi się z jego osobistych doświadczeń i drobnych obserwacji rzeczywistości przyrodniczej i społecznej. Wiąże się nierozdzielnie z jego działalnością jako myśliwego, leśnika-hodowcy i badacza przyrody. Pisarz bardzo rzadko wychodził poza bogate doświadczenia własnego życia.

Posiadając wystraszony zmysł obserwacji, widział Korsak w przyrodzie

więcej piękna niż zwykły człowiek. Całą swoją twórczość zarówno literacką jak i plastyczną, podporządkował naczelnym ideałom: „Ochrona przyrody, ochrona człowieka”.

W tym zakresie należał do pionierów. W relacji człowiek — przyroda chodziło mu przede wszystkim o wartości duchowe.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego należał do czołowych pisarzy przyrodniczych w kraju. Twórczość jego wysoko oceniali: J. Weyssenhoff, J. Ejmond, M.K. Pawlikowski, J. Szolcman oraz inni pisarze i redaktorzy. Korsak wywarł niemały wpływ na pisarstwo. L. Pomarnacki i T. Karłowicz. Prof. Walery Goetel powiedział o nim: „Wszystcyśmy wyrosli w atmosferze pięknych książek, Włodzimierza Korsaka — „Roku myśliwego” i „Na tropie przyrody”.

Korsak był ostatnim pisarzem, uprawiającym gawędę myśliwską. Wzbogacił znacząco polską literaturę krajoznawczą. Walory literackie posiadają nawet jego popularnonaukowe monografie przyrodnicze. W powojennej twórczości wyeksponował urok krajoznawstwa lubuskiego, przede wszystkim w książce „Las mi powiedział”.

Korsak uważał, że piękno tkwi w naturze, zadaniem artysty jest je wydobyć i przybliżyć społeczeństwu, szczególnie zaś młodzieży. Na jednym ze spotkań ze swoimi czytelnikami mówił: „Piękno jest wszędzie. Każdy może je zobaczyć; chodzi tylko o to, żeby dojrzeć i spostrzec, chodzi o umiejętność ujrzenia i zrozumienia a naszym największym obowiązkiem jest miłość do człowieka i przyrody”.

W twórczości Włodzimierza Korsaka całe bogactwo duchowe człowieka widać dopiero w kontekście jego obcowania z przyrodą. Piękno, Miłość i Prawda, pisane przez niego wielkimi literami, miały dla pisarza znaczenie symboliczne i dosłowne. Są one czymś niepołącznym i nieśmiertelnym, stanowią treść naszego życia, a daje nam je łaskawie Matka — Przyroda, o której człowiek musi zawsze pamiętać. Dzieło Korsaka, przemawiając poprzez Piękno,

uczy nas cieszyć się codziennością, nieustannie odkrywać w niej nowe wartości. W tym Pięknie jest Miłość i Prawda, a w tej Miłości i Prawdzie — Piękno. Są to wartości niezmierzalne i niezastapione, potrzebne każdemu człowiekowi.

JERZY OLEKSIŃSKI

Nasza miłość nigdy nie zardzewieje, tyle mogą ci obiecać, ja, który wysyłam ten list niczym latawiec na wiatry twojego pożądania. Razem się urodziliśmy a naszymi pocałunkami wyznaliśmy sobie pragnienie ponownych narodzin. Leżeliśmy w swoich ramionach, jeden uczył drugiego. Wyszukiwałeś szczególne nastroje każdej szczególnej nocy. Chcieliśmy odrzucić statyczność, cierpiąc na skutek przecucia, że stanowi część nastroju. Ja byłem twoją przygodą a ty byłeś moją przygodą. Ja byłem twoją wędrówką i ty byłeś moją wędrówką, a Edyta była naszą świętą gwiazdą. Ten list ulatuje nad naszą miłością niczym iskry spomiędzy szpad w czasie pojedynku, niczym deszcz igieł z drgających cymbałków, niczym lśniące nasiona potu ślizgające się przez sedno naszego mocnego uścisku, niczym białe pierze zawieszone w powietrzu przez skubane koguty, niczym pisk między dwoma zblizającymi się do siebie kałużami merkurego, niczym atmosfera wspólnych tajemnic, którą zioną bielizną. Ja byłem twoją tajemnicą i ty byłeś moją tajemnicą, i cieszyła nas wieść, że tajemnica ta była naszym domem. Nasza miłość nie zardzewieje. Wylaniam się z dziejów by ci o tym powiedzieć. Niczym dwa mamuty, zczepione kłami w poważnej rozgrywce na skrajach nadchodzącej epoki lodowcowej przechowujemy się nawzajem. Nasza pedzwa miłości utrzymuje naszą męskość w stanie czystym i surowym, toteż do naszych oddzielnych łóż małżeńskich wnosimy tylko siebie, a nasze kobiety mogą nas wreszcie poznać.

PRZEGRANI

Leonard Cohen



Rys. RYSZARD RYCKOWSKI

Mary Voolnd wpuściła wreszcie moją lewą rękę w fałdy swojego kitla. Patrzyła jak piszę powyższe słowa, toteż pozwoliłem, by się rozrastały dość ekstrawagancko. Kobiety kochają w mężczyznach przasadę, ponieważ przesada oddziela od kolegów i osamotnia. Wszystko, co kobiety wiedzą o świecie mężczyźni, zostało im ujawnione przez samotnych, pełnych przesydy uciekinierów z tego świata. Szalonym pedalom nie potrafią się oprzeć z powodu wysoce wyspecjalizowanej inteligencji.

— Pisz dalej — syczy.

Mary odwróciła się do mnie plecami. Balony puszczają niczym gwizdki sygnalizujące koniec każdej pracy. Mary udała, że ogląda wielki kobierzec utkany przez jednego z pacjentów, dzięki czemu zastania naszą cenną zabawę. Powoli jak ślimak wypycham rękę wnętrzem dłoni w dół, w górę obcisłej szorstkiej pończochy na udzie. Płótno jej spódnicy jest wykończalne i chłodne w dotyku pod moimi palcami i paznokciami, opięte pończochą udo jest ciepłe, zakrzywione, nieco wilgotne jak bochenek świeżego białego chleba.

— Wyżej — syczy.

Nie śpiesz się. Stary przyjacielu, nie śpiesz się. Czuję, że będę to robił całą wieczność. Jej pośladki zwierają się niecierpliwie niczym dwie rekawice bok serskie, uderzające o siebie przed meczem. Ręka zatrzymuje się by dotrzeć do drzenia uda.

— Szybciej — syczy.

Tak, dzięki napięciu pończochy wyzywam zbliżenie się do półwyspu, który zaczepia o podwiązkę. Przewodzę cały półwysp, po obu stronach mając gorącą skórę, potem zeskokcę z sukrowatej podwiązki. Nitki pończochy napinają się. Zbliżam palce do siebie, żeby uniknąć przedwczesnego kontaktu. Mary wie, że narażając moje wędrówkę na niebezpieczeństwo. Mój palec wska-

zujać wyszukuje podwiązkę. Jest ciepła. Mała metalowa pętka, gumowy guzik — wszystko jest ciepłe.

— Proszę, proszę — syczy.

Małe aniołki na główce od szpilki — moje palce tańczą na gumowym guziku. Którędy zeskokczyć? Ku zewnętrznej stronie uda, ciepłej i twardej jak skorupa tropikalnego zółwia na plaży? Czy ku bagnistej grządki na środku? A może uciepć się wielkiego zwisającego głazu jej prawego pośladka na podobieństwo nietoperza? Bardzo wilgotnie jest pod jej białą nakrochmaloną spódniczką. Jak w jednym z hangarów lotniczych, gdzie gromadzą się opary i nawet pada w środku. Mary zwierza pupę jak drobny bank, który nie chce wyplacić złotej monety. Zaraz lunie. Wybieram środek.

— Taaaak.

Pyszna zupa parzy mi palce. Lepkie geizery zraszają nadgarstek. Magnetyczny deszcz zrasza zegarek. Wierci się wybierając sobie pozycję, po czym opada na moją pieśń jak siatka na goryle. Wilem się jak wąż przez jej mokre włosy, wyzyskując je w palcach jak cukirową watę. Teraz otacza mnie artzjańska obfitość, sukrowate fałbanki, niezliczone bankowate móżdgi, pompujące konstelacje słuzowatych serc. Wilgotne komunikaty Morse'a biegną po moim ramieniu, opanowują coraz bar-

Miedzy naszymi pocałunkami i miłością francuską, to ci chciałem wyszeptać słabo roztynny kochaniu.

Bóg żyje. Czary są wszędzie. Bóg żyje. Czary są wszędzie. Bóg jest wszędzie. Czary żyją. Żyją wszędzie czary nigdy nie zamarły. Bóg się nie męczy. Wielu biedaków kłamało. Wielu chorych kłamało. Czary nie osłabły nigdy. Czary nigdy nie zanikały. Czary zawsze panowały. Bóg jest wszędzie. Bóg nigdy nie umarł. Bóg panował, choć je go pogrzeb się przeciągał. Choć przybywało ludzi na jego pogrzeb czary nie zanikły. Choć jego szczątki rozrzucono nagi Bóg żyje. Choć jego słowa przekroczone nagle czary kwitną. Choć śmierć je go ogłaszano wszem i wobec na całym świecie serce nie uwiaryło. Wielu zranych miało wątpliwości. Wielu uderzonych krwawiło. Czary nigdy nie ustąpiły. Czary zawsze przewodziły. Wiele kłamało, ale Bóg nie padł. Wielu dzikusów kłamało. Wielu grubasów słuchało. Choć rzucali kamieniami, czary wciąż żyły. Choć zamknęły swoje skrzydła nie na klucz Bogowy zawsze służyło. Czary są wszędzie. Bóg panuje. Żyje wszędzie. Żyje i panuje. Wielu słabych głodowało. Wielu silnych prosperowało. Chępliwi się samotnością, ale Bóg stał po ich stronie. Ani marzyli w swojej celi ani kapitan na wzgórzu. Czary żyją. Choć wybaczone mu śmierć na całym świecie serce nie uwiaryło. Choć prawa wyrzuciło w marmurze, nie osłoniły ludzi. Choć zbudowano ołtarze w parlamentach, nie potrafiono rozkazywać ludziom. Policja aresztowała czary i czary poszły z policją, bo czary kochają głodujących. Ale czary nie zwlekają. Przechodzą z rąk do rąk. Nie zostawiały na zawsze. Czary są wszędzie. Nie im nie grozi. Kryją się w pustej dionii. Rodzą się w pustym umyśle. Ale czary to nie narzędzie. Czary to cel. Wiele czyniły czary ale czary nie wychodziły. Wielu silnych kłamało. Przeszli tylko przez Czary i wyszli po drugiej stronie. Wielu słabych kłamało. Przeszli do Boga w sekrecie a choć odżywiali go nie chcieli powiedzieć kto uzdrowia. Góry przed nimi tańczyły, ale oni twierdzili, że Bóg nie żyje. Choć je go szczątki rozrzucono nagi Bóg żyje. To właśnie chce szepnąć memu umysłowi. To chce wymusić własnym umysłem. Tym pragnę usługuwać memu umysłowi pęty służy, a to czary idące przez świat, umysł to czary krążące po ciele, póki ciało to czary tańczące na zegarze, póki czas to czarodziejska długotrwałość Boga.

Stary przyjacielu, czy jesteś szczęśliwy? Tylko ty i Edyta wiecie jak długo czekałem na tę naukę.

— Niech cię diabli, piwa na mnie Mary Voolnd.

— Co?

— Ręka ci op 'a, Lap!

Też raz muszę iść na rzeź, stary przyjacielu? W końcu nie rozumiem tajemnicy. Jestem starym z jedną ręką na liście a drugą w soczystej pipie i nie nie rozumiem. Jeśli moja nauka to pismo święte, to czy mi ta druga ręka uschnie? Z pewnością nie. Coś się nie zgadza. Kłamstwo wisi w powietrzu. Otaczają mnie kłamcy. Prawda powinna mnie wzmoocnić. Błagam cię, drogi przyjacielu, wyjaśnij mi, wyjdź poza mnie. Wiem już teraz, że mój przypadek jest beznadziejny. Idź, opowiedz światu, kim chciałem być.

— Lap.

Mary wierci się i ręka ożywa, niczym te przedwieczne morskie paprocie, które zamienili się w zwierzęta. Teraz miękkie łokcie jej pupy gdzieś mi dają soki. A teraz jej pupa ociera się o kosc mego ramienia, nie jak uprzednio w różnym marzeniu o poręczy, ale jak gumka wycierająca zapis sru — o, właśnie niestety pojawia się świeckie przesłanie.

— Lap, proszę, proszę. W każdą chwilę mogą zauważyć.

To prawda. W powietrzu w O.T. wisi niepokój, nie ma już złotego blasku słońca, jest tylko słoneczność i ciepło. Tak, pozwoliłem, by opadł czar. Lekarzy pamiętają, że są w pracy i nie chcą ziewać. Tułta niska kobieta wydaje książkę rozkazy, biedactwo. Nastolatek płacze, bo znów się zmoczył. Były kierownik szkoły pierdzi histerycznie, grożąc nam wszystkim, że odwoła lekcje gimnastyki. Panie Zycia, czy moje cierpienie wystarczy?

— Pośpiesz się.

Mary pochyla się. Palce natrafiają na coś. To nie część Mary. To coś całkiem obcego.

— Złap to. Wyciągnij na wierzch. To od przyjaciół.

— Zaraz.

(Fragmenty prozy Leonarda Cohena pochodzą z tekstu pt. „Piękni przegrani”, opublikowanego w miesięczniku literacko-artystycznym „Pismo”, nr 7-8-9, w przekładzie Mirosława Wielkopolskiego. Tytuł pochodzi od redakcji.)



Dariusz Jan Mikus

Jeżeli reżyser chce nakręcić film o polskim miasteczku bezprawia, powinien wybrać Ziemię Odzyskaną i to ko niecznie zaraz po wyzwoleniu. Taki jest powszechny sąd o twórczym wykorzystaniu tego obszaru Polski w rodzimej kinematografii. I trudno się tu mu dziwić. Na dobrą sprawę możliwości w wyborze tematu są wielkie, niemal nieograniczone — migracje ludności, powstawanie nowych lokalnych społeczności, kwestia autochtonów, problemy pierwszych osadników itd. Jednakże trudno oprzeć się refleksji, że możliwości te nie zostały racjonalnie wykorzystane, a nawet nie do końca spe-netrowane.

Czasami powstają filmy, które z Ziemią Odzyskaną związane są tylko historycznymi realiami, na swój sposób interpretowanymi przez twórców. Mam na myśli „Jarzębinę czerwona” — Ewy i Czesława Petelskich. Jedyna okoliczność wiążąca fabułę z opisywanymi terenami jest, czas i miejsce akcji. Trudno w tym filmie doszukać się specyficznego dla Ziemi Odzyskanych klimatu, bo rzecz jasna tak było istnieć wówczas jeszcze nie mógł. Jest natomiast dość dyskusyjny obraz frontowej rzeczywistości. Sylwetki bohaterów skutecznie pretendują do miana sztucznych, a problemy moralne tworzą konstrukcje równie wysoka, co waga — a w warunkach wojny — co najmniej chybota. Oto, w scenie zdobywania niemieckich koszar pojawia się porucznik Gorczyński (Andrzej Łapicki), który w odróżnieniu od innych żołnierzy jest starannie ogolony — „to jedyny, co zostało mi sprzed wojny”, a między strzałami oddawanymi z działa przez podkomendnych zastanawiająco gładko rzuca kwestię o „męskim wigorze, który nie został roztrwoniony po burdach, lecz znalazł swój upust na wojnie”. Wydaje się, że Petelscy chcieli za dużo i dlatego powstał dziwoląg. Ani to nie jest kronikarski zapis zdobywania „Festung Kolberg” ani tym bardziej, pogłębiona o warstwie psychologiczną opowieść o ludziach wkładających na czas wojny mundury.

W końcu sprawa wyzwolenia Ziemi Odzyskanych znalazła odzwierciedlenie nie tylko w „Jarzębinie czerwonej”. Edmund Fetting zaśpiewał niezapomnianą balladę Krzysztofa Komedy „...dzieci urodzi się nowe nam...”, a na ekranie pojawił się tytuł „Prawo i pieśń”. Reżyserami tego niewątpliwie ciekawego filmu byli Jerzy Hoffman i Edward Skórzewski.

Wojna już się skończyła — powstają pierwsze ośrodki władzy. Do opuszczonego miasta udaje się „silna grupa” z zadaniem zabezpieczenia dóbr materialnych do chwili przybycia repatriantów. Wkrótce staje się jasne, że faktycznym celem wyprawy jest szaber. Do walki z bandą staje samotnie, przypadkowo zaplątany w misję ochrony dóbr, nauczyciel Andrzej Koenig. Klasyczna konwencja westernu! W dodatku pogłębia go zwycięstwo samotniejszego bohatera, który niczym prawdziwy mistrz rewolweru zabija złych ludzi i odchodzi w siną dal. Szeryfem był Gustaw Holoubek, a najsympatyczniejszym z bandytów Wiesław Gołas, odzwierciedlający postać Antka Smółki. Aktorstwo było z pewnością jednym z najmocniejszych punktów tego filmu, choć nie można zarzucić doskonałej muzyce i trzymającemu w napięciu scenariuszowi. Co więcej, wydaje się, że zaproponowana przez reżyserów poetyka westernu wcale nie zubożyła warstwy faktograficznej na bazie której powstał film. Przeniesienie tego tematu w inne lata i na inne tematy musiałoby zakłócić się kleska. Ten obraz ma swój specyficzny smaczek, nie ulegający dezaktualizacji.

Na zdobyte przez Petelskich, a ocale nie przed zabrownikami przez Hoffmana i Skórzewskiego tereny, przyjechali z Buga Kargul i Pawlak. Ten duet potrafił udowodnić, że freedomizm jest niczym wobec plotu oddziałającej ich posiadłości. Zadawany konflikt kresowy odżył w zupełnie innych realiach — „Tato, po co nam nowego wroga szukać, jak swój na miejscu”. Idzie nowe, którego nasi bohaterowie są gorącymi oredownikami: Kargul „3x tak” Pawlak „3 x nie”. Nowy ustrój jest akcentowany, ba, wyczuwa się na wet pewne nuanse przyszłych porządków — „Sprawiedliwość sprawiedliwość, ale granat do sądu weź!”.

Zalować należy, że pozostałe dwie części tej trylogii „Nie ma mocnych” i „Kochał albo rzuć” nie dorównują pierwowzoru filmowi Prawdopodobnie Sylwester Chęciński dał ponieść się fantazji.

Kraina westernu?

zł sądząc, że wszystkie trzy części będą miały równie wysoką wartość artystyczną. Niestety, okazało się, że następne filmy bazowały na kuponach od ciętych z „Samych swoich”.

Kolejnym reżyserem próbującym swych sił w komedii, której akcja usytuowana jest na Ziemiach Odzyskanych, był Hieronim Przybył. Jego „Rzeczpospolita babska” opowiada o zdemobilizowanym oddziale fizylierek, które rozpoczynają cywilne życie w opuszczonym folwarku. Oczywiście, w sąsiedztwie znajduje się inny folwark, na którym z kolei gospodarują niedawni żołnierze. Tak rozpoczynają się akcje prowadzić może tylko do jednego — zbiorowej ceremonii ślubnej.

Nie wszystkie jednak problemy dają się ująć w konwencji żartobliwej, lub choćby skłaniającej do śmiechu. Są tematy, które można traktować tylko poważnie, o ile nie chce się ich spłyć, a film ma aspirację oddziaływania na psychikę widzów.

„Rok spokojnego słońca” Krzysztofa Zanussiiego opowiada o powojennej rzeczywistości małego miasteczka w okolicach Zielonej Góry. Przyjeżdża tu aliancka komisja wojskowa mająca odnaleźć zbiorową mogiłę zamordowanych przez hitlerowców brytyjskich lotników. Jeden z przyjeźdźców — Norman (Scott Wilson) zakochuje się przypadkowo w poznanej Emilii (Maja Komorowska) i chce ją zabrać, wraz z jej matką do Ameryki.

„Rok spokojnego słońca” zdobył na weneckim festiwalu filmowym nagrodę Złotego Lwa św. Marka. Był również jednym z kandydatów do nagrody na ubiegłorocznym festiwalu gdańskim — ale reżyser, niestety, nie zgłosił go do udziału.

W Gdańsku obejrzelismy natomiast inny nowy polski film traktujący o problematyce Ziemi Zachodnich — „Pobojowisko” Jana Budkiewicza. Największe wątpliwości mam co do określenia tego wytworu fantazji reżyserskiej. Na dobrą sprawę należałoby mówić i pisać o dwóch tysiącach osiemset pięćdziesięciu trzech metrach taśmy filmowej, w pełnionej niezbyt starannie fotografowanymi kadrami. Znamienne jest to, że nawet niektórzy aktorzy swoją nieobecność na konferencji prasowej manifestowali stosunkiem emocjonalnym do „Pobojowiska”. Aby nie być gołosłownym, służę przykładem — prowadzący konferencję redaktor Bronisław Cieślak (znany jako porucznik Borewicz) przeprosił dziennikarzy za nieobecność Zygmunta Małanowicza i powtórzył prośbę aktora, „by nie przypominać, że grał on kiedyś w tak dobrym filmie jak „Nóż w wodzie”.

Na dobrą sprawę nie bardzo wiadomo, o co w „Pobojowisku” chodzi. Do małego miasteczka nadmorskiego przybywa świeży zdemobilizowany Bogdan Łanowiecki (Janusz Rafał Nowicki). Prawie wszystko w tym filmie jest wtórne — gdzieś już widziane, przez kogoś pokazane. Mam rozminowanie, uruchamianie portu, samotnego porucznika Wróbla (Jacek Strama), bohatersko walczącego o władzę ludową, brzydkich bandytów. Z rzeczy autorskich na pierwszy plan zdecydowanie wysuwa się choroba głównego bohatera, który okazuje się epileptykiem. Reżyser konsekwentnie stara się zainteresować widzów powtarzającymi się atakami padaczki — ale czemu ma to służyć? Nie jest to apogeum twórczych możliwości Jana Budkiewicza. Z filmu robi się kompletnie pobojowisko artystyczne, gdy na ekranie para bohaterów hasa w zwolnionym tempie po plaży w ramach tzw. reminiscencji. To trzeba zobaczyć, żeby wiedzieć, czego nie oglądać.

Wracam do pytania zawartego w tytule. Czyżby Ziemię Odzyskaną w polskiej kinematografii miały być jedynie krainą westernu? Na pewno nie. Bo też rozliczanie rodzimej kinematografii z tego, czy i jak przedstawia te tereny, jest niepoważne. Idzie o to, aby filmy były dobre i bardzo dobre, a nie na za mówienie omijały lub eksploatowały do końca określone problemy. Przecież się da dający do pracy nad scenariuszem reżyser nie myśli o przyszłym dziele jako wycinku uzupełniającym układankę po przedników. Inna sprawa, że Ziemię Odzyskaną swoją specyfiką i bogactwem wydarzeń zaistniałych w ostatnim czasie, stanowią kopalnię tematów dla fachowców od scenariuszy. A czy będą z tego filmy czy pobojowiska — zobaczymy na ekranie.



POLSKI CZYN ZBROJNY NA ŚRODKOWYM NADODRZU

W 40-rocznicę powstania ludowego Wojska Polskiego LTN, LKUP oraz WSP w Zielonej Górze zorganizowały sesję naukową, poświęconą polskim tradycjom wojskowym na Środkowym Nadodrzu. Sesja odbyła się w październiku 1983 r. Dopiero w lutym 1986 r. ukazały się materiały z tej sesji, które zebrał do druku i przygotował merytorycznie dr Andrzej Toczewski — sekretarz LTN.

Na wstępie do pracy A. Toczewski trafnie stwierdza, iż: „Nasz zwycięski powrót na przastare piastowskie dzie-

dzictwo był jednym z najdonioślejszych wydarzeń w całej naszej historii... Podstawowy sens epopei powrotu polegał na tym, iż spełniał on odwieczne dążenia wielu pokoleń Polaków, że był wyrazem swoistej sprawiedliwości dziejowej, realizowanej zbrojnym wysiłkiem żołnierza radzieckiego i polskiego”.

Wysiłek ten ziścił marzenia takich w bitnych Polaków — uczonych, poetów, pisarzy, działaczy społecznych jak Jan Długosz, Joachim Lelewel, Stanisław Staszic, Hugo Kołłątaj czy Adam Mickiewicz. Nasz wieszcz narodowy przepowiadał, iż nastąpi kiedyś dziejowa chwila: „Gdy orły nasze lotem błyskawicy, spadną w dawnej Chrobrego granicy”. I tak się też stało.

Historyczne racje oraz niezbywalne prawa Polski do ziem nad Bałtykiem, Odrą i Nysą Łużycką poprzedziła rozumna koncepcja polityczna i militarna PPR, umiejętnie i właściwie powiązanie celów walki wyzwolenczej narodu polskiego z hitlerowskim najazdem przez obóz lewicy społecznej. Powrót Środkowego Nadodrza do Macierzy ziścił marzenia Polaków o wolności i suwerenności.

Wyzwolenie tej ziemi jest ściśle związane z wielkimi operacjami radzieckich sił zbrojnych — Armii Czerwonej oraz żołnierzy ludowego Wojska Polskiego w ramach zimowo-wiosennej kampanii 1945 r. przeciw armiom hitlerowskim. Żołnierz polski, przybył w bojowym marszu na zachód, na piastowskie ziemie polskie, z niezłomną wolą pozostania tu już na zawsze.

Praca zbiorowa pod redakcją Andrzeja Toczewskiego ilustruje zbrojne zna-

gania Polaków z Niemcami, które toczył w X wieku wojowie Mieszko I i Bolesław Chrobry, a zakończył w maju 1945 r. żołnierz ludowego Wojska Polskiego w szturmie na Berlin i pokonaniu faszyzmu niemieckiego.

Omawiany tom zawiera następujące artykuły: Karola Olejnika: Polskie tradycje wojskowe Środkowego Nadodrza do połowy XVII wieku, Joachima Benyskiewicza: Udział ludności Babimojszczyzny w polskich powstaniach zbrojnych 1655-1919; Kazimierza Kaczmarska: Działania 2 Armii Wojska Polskiego w wyzwoleniu Środkowego Nadodrza, Andrzeja Toczewskiego: Udział ludowego Wojska Polskiego w wyzwoleniu Środkowego Nadodrza, Czesława Osekowskiego: Osadnictwo wojskowe na Ziemi Lubuskiej w latach 1945-1948; Mariana Pietraka: Udział byłych żołnierzy Gwardii Ludowej i Armii Ludowej w zagospodarowaniu i rozwoju życia społeczno-politycznego na Środkowym Nadodrzu.

Wyrazem w tym miejscu należy przekonać, iż książka ta przyczyni się do lepszego poznania przeszłości Środkowego Nadodrza przez obywateli tej ziemi, a w szczególności — przez młode pokolenie. Okazuje się także pomocnym materiałem dla nauczycieli historii i wychowania obywatelskiego. W ich pracy wychowawczej z młodzieżą, w kształtowaniu jej postaw patriotycznych i internacjonalistycznych.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Polskie tradycje wojskowe Środkowego Nadodrza. Praca zbiorowa pod redakcją Andrzeja Toczewskiego. Zielona Góra 1986. Stron 152. Nakład 600 egz. Cena zł 300.

W obawie przed utratą oczu...

W jednym z wierszy Piotr Bukartyk, debiutant z Gorzowa, mówi: „Iżąc uśpiotczającym wzrokiem / szukają miejsce / słabyh”. Tymi słowami jak mottem można by opatrzyć sens niemal wszystkich utworów tomiku „Gwóźdź”.

Wobec rzeczywistości bowiem autor przyjmuje postawę obserwatora: czuwającego i bardzo uważnego, ale jednocześnie surowego a nawet ironicznego. Szuka słabych i chorych miejsc naszego krajobrazu społecznego. Wytyka nijakosie życia, bezsens wielu ludzkich egzystencji. Mówi, jak ongiś Tuwim o strasznych mieszczańskich, o papierowych ludziach, jedynie pozorujących własne problemy, pracę, zainteresowania, a na prawdę uwikłanych w wymysły, a „papierowe” biura, mieszkania, tapety, ograniczonych w swych wysiłkach do pozoru za rolką papieru toaletowego. Ten wyrok wydany na obserwowaną społeczność jest miłądzący: autor nie szuka żadnego wytłumaczenia przedstawił wionego stanu, ani taryfy ulgowej. Byłoby to zbyt jednostronne, gdyby nie inne głosy podpatrujące rzeczywistość w odmiennych wymiarach. Myślę o wierszach, w których pobrzmiwa aluzja do trudnych ostatnich polskich lat („Przecekalmy te burze”, „Uliczni łowcy psów”, „Koniec końców potrafię”). Na

dzisiejszą codzienność, nie miłowana przynajmniej, w różnych barwach, nakładają się historia głęboko przeżyta, wydarzenia, które zapadły w świadomość i tkwią jak zadra, uwierają i boją. Wierze być może mają pełnić rolę oczyszczającą, przede wszystkim odramatyzowania historii, sprowadzenia „purpurowego bruku”, „ciężkiej krwi”, „ciemnego miasta” z patetycznego wizerunku utrwalonego w pamięci, sprowadzenia owego tragicznego sztafetu w teraźniejszość uspokojoną, mimo że nadal nieufną i czuwającą. Ratunkiem przed uwikłaniem jest w patos jest autoironia i trochę szyde. Twa, Bukartyk np. kpi ze zbytnej ufności w moc form administracyjnych. Uznając je za skostniałe i narzucone — ogłasza kryzys wartości dotąd uznanych. Wiara w Temidę ma charakterystyczne, jednostki, naiwne, nieświadome, że sprawiedliwość może mieć „nalaną twarz kłauwa” i nie dbać o „głowy przypadkowo ścięte”.

Według autora „Gwóźdź” rzeczywistość jest trudna, nawet okrutna. Jedynym lekarstwem, sposobem na oswolenie — ma być zaakceptowanie tego świata lub raczej — przeczekanie burz, wiatrów i innych „anomalii”. Jednocześnie zaakcentowana została bierna postawa wobec wszelkich zdarzeń: prze-trwanie warunkowane jest nadzieją na samozniszczenie szalejących żywiołów bez, oczywiście, wklania w to własnego życia. Owo milczące czekanie stawia podmiot w pozycji przegranej — istoty szarej, uciekającej, zastraszonej. Ale ciągle świadomej, że nie jest „tłumem” lecz jednostką — niewiele znaczącą, zmęczoną swą postawą lekką, asekurancją. Ten podmiot nie ma własnej twarzy: „krzaczę wśród woni / w obu tobie przed utratą oczu”. Zatem, do znajomości świata dochodzi nieprzejmienne poczucie własnej małości, przed którą dotąd nie ma ucieczki. Bohater wierszy

P. Bukartyk jest bardzo inteligentny, rozumie swe miejsce w historii, w naturze, samodzielnie interpretuje wydarzenia i przemiany, ale jednocześnie pozostaje pasywny wobec owych realiów — nie próbuje ich zmienić, boi się tego, iż przystosowanie jest również przegrane, utracone jedynie na zewnątrz. Ma to w sobie posmak fałszu wobec otaczającego świata, wobec siebie samego. Ratunkiem w każdym momencie pozostaje przypomnienie sytuacji — wyodrębnienia, obojętnej, milczącej walki.

Utwory oceniające rzeczywistość są nieliczne w zbiorze, ale chyba najlepiej. Dojrzała jest nie tylko warstwa przemysłu, ale i forma, zwarta, rymiczna z ciekawymi metaforami, eksperymentami językowymi. Bukartyk w swych wierszach zwraca się ku różnym tematom, szuka najlepszego sposobu wypowiedzi. Siad biorą się opisy sytuacji miłosnych, rozważania na temat tradycji, piękno przyrody, kpiny ze społecznej kawiarni — oraz interesujące myśli o poezji, niejako autor-skie credo liryczne.

Piotr Bukartyk ciekawie zaprezentował się w almanachu „Nauka tańca”. Wiersze zawarte w tomiku potwierdzają rozbudzone nadzieje, są udane, a przede wszystkim ważne i mądre. Nie są łatwe w lekturze, nawet potrafią niekiedy zniechęcić. Wymagają od czytelnika cierpliwości i uwagi, by przy wnikliwym traktowaniu dostarczyć niebanalnych przeżyć, mądrych obserwacji, wzbogaconych ironią i prześmiewczą kpina.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Piotr Bukartyk: Gwóźdź. Biblioteka Literacka. Gorzówko Towarzystwo Kultury. Gorzów Wlkp. 1985 r.

JAK PRZEWIEŹĆ NOWEGO DANTEGO?

Po lekturze niefortunnego „Okolice skwierzynnych” nie sadziłam, że Janusz Oleczak poprawi (tak szybko) swoją reputację poetycką. Cieszę się, iż stało się inaczej — zmianę na lepsze przyniósł wydany w Lublinie tomik „Mój autoportret z Saskią”.

Już tytuł całości jest intrygujący, odwołuje się bowiem do wiedzy historycznej i estetycznej odbiorcy. Każdy cytat zawarty w poszczególnych wierszach ma w sobie moc bodźca prowokującego do intelektualnej „próby sił”, przynosi do własnej pamięci i wrażliwości.

Utwory zawarte w zbiorze tworzą dwie grupy tematyczne, nakładające się kilkakrotnie na siebie. Pierwszy rodzaj wierszy jest poetyckim obrazem bliskiej nam codzienności, z charakterystycznym sztafetażem (banatami) von, dzieci, kolegów „blokowskiego”. Jednocześnie — i tu dopiero zaczyna się oryginalność — owa codzienność często odbija się w justrze mitologii, historii sztuki i literatury, głównie malarstwa i poezji. Oto — przytoczony kłopotami i szarpiącymi bohater czuje się włóczęgą przez życie, jak ongiś Hektor przez Parys; z kolei nowo narodzona córka ma być w przyszłości Diana i Atena jednocześnie; Jazda tramwajem bez biletu każe wspominać rzeźby Fidiasza i zastępów w wystudiowanych pozach dyskoboli. O ile utwory ze wspomnianymi motywami zachowują pozory powagi, przesłania i zamierzona parabolą

o tyle np. rekwiwity przywołane w wierszu „Domowe monumenty”, choć trochę nostalgiczne, pozwalają z przymrużeniem oka traktować bibeloty-kielce zdobione meblowymi współczesnych mieszkank. W tym ośwojonym wymiarze — Herkules ma prawo być „maleńki”, a Nike jak „biała okruszynka”. Przyznajmy od razu, że granica między ironią a dosłownością przedstawianej wizji jest u J. Oleczaka bardzo cienka i do końca nie wiemy, czy świadomie wyznaczona. Możemy pojąć posadzać o sentyment do porcelanowych i plastikowych figurek lub wiklinowego pajaka, tak jak lubi on morały i nieco wyblakłe, wytarte słowa, zwroty. Na przykład: „każdy z nas jest monumentem” i „kto nie słyszy słownika sumienia musi mieć ciężkie”, co przecież — w jednym i drugim przypadku ociera się o banał. Podobnej rutyny w budowaniu zdań znajdziemy wewnątrz wierszy dużo więcej. Jednak w tym przypadku poezjowanie broni się obrazem i sygnalizowanymi — historycznymi koneksjami. W wyobraźni rola się zapamiętane fragmenty dzieł Rembrandta: kłębiący syn marnotrawny, twarz w kapeluszu z płożem na głowie i szklanicą wina w dłoni. Wokół bohatera spacerują zamysłone kobiety Vermeera.

Rozpoznawalny jest również inny element — POETA, który w wierszach przybiera różne postaci. Wobec nagromadzenia utworów z motywem twórczym — możemy mówić o wyróżniającym się drugiej grupie utworów „Moje go portretu z Saskią”. Dla Oleczaka Poeta to zjawisko, inny sposób przeżywania i odpowiedzialności, „anioł, co nam z nieba spada”. Współczesny „stary poeta”, „bez zębów, bez manifestu bez programu” ucieka w świat Czarnolasu, Nowogrodka, Krzemienia. Tam szuka potwierdzenia i aprobaty własnego talentu. Autor przywołuje wielkie nazwiska i miejsca z nimi związane. Tworzy obraz Amierci Gajcego, spa-

ceru, Czechowicza po Lublinie. Wystrękuje się swoistą inwazją do Kochanowskiego i jego muzy. Ucieka się również do stylizacji — min. parodiując bardzo udanie Gałczyńskiego, wprowadza aluzje do Reja, Norwida i Słowackiego. Jednym z najciekawszych wierszy jest parafraza Krasńskiego.

Janusz Oleczak widzi swój świat smutno i szaro („Najlepszy kumpel dziś jak inkwizytor sprzedaje ci przy piwie obłocze ponure”). Ale to widzenie jest świadome groźnej sytuacji współczesności. Wiersz „Angaż dla nowego Dante’go” za myka się w następujących wizjach:

Wódę Lety zatruto ściekami

(...)

a przecież trzeba będzie przewieźć tędy nowego Dante’go.

W przypadku, gdy skażony świat byłby coraz mniej życzliwy — ratunkiem, oprócz zwykłego rodzinnego szczęścia, jest wielka poezja i wielka sztuka, wcześniej pytająca o towarzyszące nam aksjomaty, bo:

wszystko jest porządkiem i wszystkim sumieniem
jak słusznie podpowiadasz mój stary

Horacy

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Janusz Oleczak: Mój autoportret z Saskią. Wydawnictwo Lubelskie. Lublin 1986.

Regionaliści z Dobiegniewa

W czerwcu br. w Dobiegniewie odbył się I sejmik kultury, na którym powołano Dobiegniewskie Towarzystwo Kultury. Prezesem został Zenon Sobkowiak, kierownik Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej.

Sejmikowi towarzyszyła sesja popularno-naukowa na temat historii i teraźniejszości tego pięknie położonego miasteczka, znanego dziś nie tylko z wielu inicjatyw społecznych, lecz również — pod nazwą Woldenberg — z istniejącego w nim podczas wojny Oflagu II C.

Przebywało w nim około 6 tys. oficerów i 600 podoficerów oraz szeregowców Wojska Polskiego. Uczestnicy sejmiku oraz zaproszeni goście otrzymali wydawną z tej okazji jednodniówkę „Ziemia Dobiegniewska”, opracowaną przez miejscowych regionalistów. Działacze no wopowstałego Towarzystwa mają zamiar popularyzować swoją ziemię poprzez publikację, jednodniówkę, wydanie monografii Dobiegniewa, a także — do kumentować w dalszym ciągu historię Oflagu.

O tych wszystkich planach i zamie-

rzniach żywo dyskutowano nie tylko we własnym gronie. Delegat woj. gorzowskiego na X Zjazd partii p.l.k. Lech Kosiorowski podkreślił, iż przywiązanie do swojej „małej ojczyzny” — to wyraz społecznej aktywności i realizacji programu partii w upowszechnianiu kultury. W podobnym duchu wypowiedzieli się również, deklarując swoją pomoc Towarzystwu, obecni na sejmiku przedstawiciele władz kierownik Wydziału Ideologicznego KW PZPR — Zdzisław Sobotnicki, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW w Gorzowie — Edward Korban, członkini Rady Wojewódzkiej PRON — Danuta Bartosz, i sekretarz KMIG PZPR — Marian Szambelan oraz naczelnik miasta i gminy — Leopold Korzeniowski.

Wypada wyrazić satysfakcję, że w Gorzowskim powstało jeszcze jedno regionalne towarzystwo kultury.

ANNA MAKOWSKA-CIELEN

KONKURSY

...O „Prawdziwek Dobiesława”

Strzelecko-Krajeński Dom Kultury i Klub Literacko-Artystyczny „Silva rerum” ogłaszają II Konkurs Poetycki o „Prawdziwek Dobiesława”. Udział w konkursie mogą wziąć twórcy nie zamieszkałe w ZLP, którzy nadesłali — dowolnie — zestaw wierszy o tematyce różnej (w ilości 3—5 utworów), wiersze haiku (5—10 utworów) oraz wiersze nt. „Przeszłość i teraźniejszość” — 700 lat Strzeleckich Krajeńskich.

Przewiduje się następujące nagrody: — główną w wys. 12 tys. zł wraz z rzeźbą „Prawdziwek Dobiesława” za wiersze o tematyce dowolnej; — specjalną za zestaw haiku, w wys. 6 tys. zł; — trzy wyróżnienia po 5 tys. zł, ponadto:

- nagrodę specjalną za wiersz o Strzelcach;
- nagrodę przyznaną przez Klub Literacko-Artystyczny z „Silva rerum”.

Prace dotąd nie publikowane, podpisane godłem, z załączoną kopertą zawierającą imię, nazwisko i adres auto-

ra, należy nadsyłać w pięciu egzemplarzach do 10 września br. na adres: Strzelecko-Krajeński Dom Kultury pl. XXX-lecia PRL, 3 66-500 Strzelecko-Krajeńskie, z dopiskiem na kopercie: „Prawdziwek Dobiesława”.

Ilość nadesłanych prac przez jednego autora nie jest ograniczona.

...Na reportaż lub opowiadanie

Organizatorami konkursu są: Gorzowskie Towarzystwo Kultury, Redakcja „Ziemi Gorzowskiej” oraz wydziały kultury i sztuki Urzędu Wojewódzkiego i Urzędu Miejskiego w Gorzowie Wlkp.

Celem konkursu jest przedstawienie ludzi i spraw szczególnie związanych z regionem gorzowskim.

W obydwu kategoriach konkursu (reportaż i opowiadanie) przewiduje się następujące nagrody:

- I — 15.000 zł, II — 10.000 zł, III — 7.000 zł, oraz trzy wyróżnienia po 5.000 zł.

Jury powołane przez organizatorów ma prawo do innego podziału nagród.

Konkurs ma charakter zamknięty i otwarty. W konkursie otwartym może uczestniczyć każdy. Do konkursu zam-

kniętego zostaną zaproszone osoby wybrane przez organizatorów.

Prace konkursowe należy nadsyłać w maszynopiśmie w 3 egz. na adres: Gorzowskie Towarzystwo Kultury, ul. Sikorskiego 3, 66-400 Gorzów Wlkp, z zaznaczeniem na kopercie „Konkurs II teraźni — reportaż, opowiadanie”.

Ilość nadesłanych prac przez jednego autora nie jest ograniczona.

Objętość nadesłanych prac na konkurs nie powinna przekraczać 10 stron znormalizowanego maszynopiśm. Oceniane będą prace dotyczące nie publikowane, opatrzone godłem, nadesłane wraz z zamkniętą kopertą zawierającą imię, nazwisko oraz adres autora.

Dla oceny prac i przyznania nagród organizatorzy powołają komisję konkursową, której skład zostanie opublikowany w terminie późniejszym.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1 grudnia 1986 roku (decyduje data stempla pocztowego).

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w lutym 1987 roku.

Organizatorzy przewidują możliwość publikacji nagrodzonych i wyróżnionych prac.

Sekretariat konkursu znajduje się w biurze Gorzowskiego Towarzystwa Kultury, ul. Sikorskiego 3 66-400 Gorzów Wlkp. tel. 233-68.

DEBIUTY

Niedawno został rozstrzygnięty konkurs „Poetycki Debiut Młodych” zorganizowany przez ZW ZSMP, Oddział Wojewódzki RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Gorzowie Wlkp. i redakcję „Gazety Lubuskiej”.

Celem konkursu było ujawnienie młodych talentów literackich (warunek uczestnictwa — nie przekroczenie 30 roku życia), stworzenie możliwości debiutu literackiego, a przede wszystkim zachęcenie młodych do spróbowania swych sił w poetyckiej sztuce słowa. Organizatorzy zamierzają reaktywować działający kiedyś w Gorzowie Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, którego założycielem był Zygmunt Trziszka, obecnie mieszkający w Warszawie. War to może przypomnieć, iż Klubowi patronował wówczas Zarząd Powiatowy ZMW w Gorzowie. Klub wydawał pierwsze — chyba — gorzowskie pismo literackie

„Nadwarcie” jako dodatek do „Słonu Gorzowskiego”.

Jury pod przewodnictwem Anny Makowskiej-Cielen, sekretarza GTK, z 28 zestawów wierszy najwyższą ocenę przyznało Ryszardowi Piernikowi, 28-letniemu mieszkańca Międzybózia. Laureat drugich nagród — to 24-letni Andrzej Ireneusz Sawko z Kostrzyna i 17-letni uczeń Technikum Gospodarki Wodnej w Debie Wielkim k. Serocha i Piotr Sienkiewicz — również mieszkańcy Kostrzyna.

Wyróżnienia otrzymali: Agnieszka Poraszka (l. 17) z Międzybózia (za zestaw wierszy), Kazimierz Gręda (l. 27) z wsi Dzierżów w gminie Deszczno (za wiersz „Śnieżny świt”) i Agnieszka Borkowska ze Szkoły Podstawowej w Gorzowie (za wiersz „Lato”). Nagrodzono również najmłodszego uczestnika konkursu, uczennicę kl. VI Szkoły Podsta-

wowej nr 15 w Gorzowie — Grażynę Lis.

Poziom konkurs był bardzo zróżnicowany, zarówno pod względem artystycznym jak i wieku uczestników. Spo ro utworów, to niestety, nieudane naśladownictwo współczesnej poezji albo nieporadne rymowanki. Zastanawiający jest znikomy udział w konkursie młodzieży szkół średnich. Może idea konkursu wymagała szerszej popularności? A może młodzi ludzie nie mają w tym wieku odwagi na wyrażanie z szufad swoich poetyckich prób? O tym, że przelewają na papier swoje młodzieńcze doznania i obserwacje jestem przekonana. Jak dotychczas najmłodszym gorzowskim autorem jest 22-letni Piotr Bukart, którego tomik „Gwoździe” ukazał się niedawno w serii Biblioteki Literackiej GTK.

Mimo skromnego dorobku tegorocznej edycji konkursu, organizatorzy, głównie ZW ZSMP, zamierzają go kontynuować. Czy ożyje KKMP w Gorzowie, przekonamy się niebawem.

(ama)

350 - LECIE POCZTY SZWEDZKIEJ (2)



Rozwijające się burzliwe kontakty polityczne i gospodarcze w XVII w. wymagały utrzymywania stałych połączeń z kontynentem. Początkowo przez ryki pocztowe były ekspedowane za pośrednictwem Dani, która już w 1624 r. miała zorganizowaną łączność pocztową. Ale kiedy Szwecja w XVIII w. była w wojnie z Danią, tą drogą nie można było przekazywać na kontynent przesyłek pocztowych. Wykorzystywano różne szlaki łączności pocztowej. Do piero od 1683 r. utworzono stałe połączenie morskie z Niemcami.

Rozwój stosunków gospodarczych, wzrost poziomu wykształcenia społeczeństwa, postępujące uprzemysłowienie w XIX w. przynosi znaczny wzrost zapotrzebowania na usługi pocztowe. Dotychczasowe przepisy wymagają reform. Jako pierwsza w Europie, na wniosek Rowlanda Hilla, Anglia wprowadziła jednolitą taryfę pocztową, uzależnioną jedynie od wagi przesyłki. W 1840 r. ukazały się w Anglii pierwsze znaczki pocztowe. Wprawdzie przed ogłoszeniem memoriału „Post Office Reform, its Importance and Practicability” — inżynier Curry Gabriel Traffenberg (1791—1875) zgłosił w parlamencie Szwecji projekt reformy pocztowej proponując m.in. wprowadzenie tzw. „Por to Charte”, specjalnych arkuszy listowych z nadrukowanymi stemplami o

roznych wartościach, które miały służyć jako znaki opłaty, ale nie został on przyjęty i dopiero w 1855 r. ukazały się w Szwecji pierwsze znaczki pocztowe.

W setną rocznicę tego wydarzenia zorganizowana została światowa wystawa filatelistyczna „STOCKHOLMIA '55”. a Poczta z tej okazji wydała w postaci 12 dwuletnich znaczków arkuszy w wodoru 5 pierwszych znaczków. Ujed noliczenie wewnątrz kraju taryfy opłat pocztowych przyniosło znaczne ożywienie działalności pocztowej. Istna dżungla opłat obowiązywała w obrocie zagranicznym. Z inicjatywy generalnego pocztmistrza Niemiec, Heinricha von Stephana, w 1874 r. utworzono w Wiedniu Światowy Związek Pocztowy, przy jęto jednolite zasady opłaty i przesyłania poczty przez wszystkich członków Związku. Wśród 22 członków założycieli była też Szwecja (obecnie SZP — UPU liczy 166 członków). Duży wkład w organizację UPU, a także wiele usprawnień w łączności pocztowej wniosli ówczesny generalny pocztmistrz, Adolf Wilhelm Roos (1824—1895). Niektóre je go inicjatywy, jak np. utworzenie w 1884 r. Powszechnej Kasy Pocztowej, czy rozwiązania dotyczące wiejskich do ręcycieli do dzisiejszego dnia pełnią swoje funkcje w służbie publicznej. Warto dodać, że w 1878 r. władze

gminne zawarły umowy z Poczta, aby wiejscy doręczyciele pełnili dodatkowe funkcje opiekunów społecznych dla lu dzi starych i chorych, dostarczali im to wary, a nawet książki, załatwiali róż ne posługi.

Współcześnie Poczta Szwedzka to du że państwowe przedsiębiorstwo zatrud niające ponad 63.000 osób, obsługujące ponad 6 mln kont, opracowujące w ciągu 3 dni tyle przesyłek, ile przed 100 laty w ciągu całego roku. Najbliższe perspektywy to dalsza mechanizacja, automatyzacja i elektroniczna praca Poczty. W zakresie administracji pocztowej nie znajdują się połączenia tele foniczne i telewizyjne. Wyraźny rozdźwięk sprawia, że daleko posunięta specjalizacja usług pocztowych dobrze służy społeczeństwu. Poczta Szwedzka prowadzi szeroką działalność promocyjną, w zakresie znaków pocztowych, a także pełną obsługę filatelistów jeśli chodzi o znaczki pocztowe, zeszyciki znaczkowe, koperty pierwszego dnia obiegu, maksimumarkty, itp. Co roku ukazuje się bezpłatnie katalog znaczków sprzedawanych przez PFA Postens Frimärksavdelning S-105 02 Stockholm, zarówno na miejscu, jak i dla zamieszkałych odbiorców krajowych i zagranicznych. Prawie dla każdej serii wydawane są wielobarwne, czterojęzyczne biuletyny dostarczane bezpłatnie abonentom.

M. SŁAWOMIR

DOBIEGNIEW. Podczas sejmiku założy cielskiego powstało Dobiegniewskie To warzystwo Kultury, na czele którego stanął Zenon Sobkowiak, dyrektor MPKG. Z okazji sejmiku Rada Miejsko-Gminna PRON wydała jednodniówkę „Ziemia Dobiegniewska”. Odbyła się również sesja popularno-naukowa na temat przeszłości i przyszłości Dobiegniewa, miasteczka, w którym w la tach II wojny światowej znajdował się obóz jeniecki Oflag II C.

GORZÓW. W amfiteatrze gorzowskim odbył się niekonkursowy przegląd zespołów muzycznych uprawiających muzykę reggae. W dwudniowej imprezie wzięło udział około 3 tys. gorzowian i ponad 1 tys. przyjeźdźców. Wystąpiły zespoły polskie i zagraniczne. Organizatorem „Reggae nad Wartą” był Wielkopolski Ośrodek Kultury oraz instytu cje gorzowskie.

DĄBRÓWKA WIELKOPOLSKA. Z udziałem wiceprezesa Zbigniewa Gętycha oraz przedstawicieli wojewódz kich władz partyjnych i administracyj nych odbyło się wymiarowanie aktu ere keyjnego budowy szkoły pod patrona tem Stowarzyszenia Wisła-Odra. Dąbrówka, wieś przez lata germanizowana, wy kazała się wielką ofiarnością i patriotyzmem, szczególnie w latach przedwojennych. W 1929 r. we wsi powstała szkoła polska, na której uczęszczało w pierw szym roku nauki 108 dzieci, w 1939 — 125 dzieci. Tuż po wyzwoleniu w Dąbrów ce odrodziła się szkoła polska, jako jedna z pierwszych na Ziemi Lubuskiej. Obec nie Dąbrówka jest dużą rolniczą wsią, posiadającą kilka organizacji społecznych, które to postanowiły przy pomocy mieszkańców i państwa zbudować nową szkołę. Otwarcie szkoły ma nastąpić w 60 rocznicę powstania szkolnictwa polskiego w Niemczech. Podczas uroczystości w Dąbrówce wicepremier udekorował zasłu żonych w walce o polskościę Medalami Rodła. Otrzymał je: Michał Bimek, Rozalia Bloch, Stanisław Budyń, Wanda Chelkowska, Wincenty Golek, Stanisław Dudek, Tomasz Wosko oraz rodziny nieżyjących już patriotów dąbrowskich.

ZIELONA GÓRA. Od 1957 r. corocznie przyznawane są Lubuskie Nagrody Kul turalne, a od 1981 — Lubuskie Nagrody Naukowe. W tym roku uroczystość wręczenia nagród, przyznanych przez wojewodę zielonogórskiego, odbyła się podczas sesji WRN w przeddzień Święta Lipcowego. Nagrody kulturalne otrzymali: Halina Aniska-Skarbek — reportażystka w dwutygodniku „Nadodrzu”, członkini Stowarzyszenia Autorów Polskich — za osiągnięcia w zakresie publicystyki kul turalnej; Dorota Frąckowiak-Kapala — docent, kierownik Zakładu Dydaktyki In strumentalnej w Instytucie Wychowania Muzycznego Wyższej Szkoły Pedagogicz nej w Zielonej Górze — za osiągnięcia dydaktyczne i artystyczne w dziedzinie pianistyki; Anna Gapińska-Myszkiewicz — artystka plastyk z Zielonej Góry — za wybitne osiągnięcia w zakresie malarstwa; Katarzyna Górecka — dyrektorka Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy w Sulechowie — za osiągnięcia w popu larzacji czytelnictwa; Lucjan Grzeja — dyrektor Biblioteki Pedagogicznej w Lub sku, sekretarz Lubuskiego Towarzystwa Kultury — za upowszechnianie wiedzy o regionie lubuskim; Zbigniew Jaraczewski — lekarz, prezes Torzyńskiego To warzystwa Kultury — za osiągnięcia w zakresie plastyki amatorskiej i organiza cję działalności społecznej w ruchu regionalnym; Ryszard Konieczek — krytyk fi lmowy, publicysta w „Literaturze” — za szczególne osiągnięcia w programowaniu Lubuskiego Lata Filmowego; Witold Michorzewski — artysta plastyk z Zielonej Góry — za szczególne osiągnięcia w zakresie grafiki; Jan Muszyński — historyk sztuki, dyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej — za wybitne osiągnięcia w organiza cji muzealnictwa; Alicja Nawojka — dyrektorka Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy w Krośnie — za osiągnięcia w popularyzacji czytelnictwa; Alfred Siatecki — literat z Zielonej Góry — za osiągnięcia pisarskie i popularyzatorskie. Na grody naukowe otrzymali: doc. dr hab. Jerzy Brzezinski — kierownik Zakładu Języka Polskiego w Instytucie Filologii Polskiej WSP w Zielonej Górze — za znaczące osiągnięcia w badaniach językowych; prof. dr hab. Michał Kisielewicz — rektor Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze, prezes Lubuskiego To warzystwa Naukowego — za wybitne osiągnięcia naukowe w dziedzinie matema tyki; doc. dr inż. Mikołaj Kłapoć — dziekan Wydziału Budownictwa i Inżynierii Środowiska WSI w Zielonej Górze — za szczególne osiągnięcia naukowe i wdro żeńowe w zakresie trwałości i bezpieczeństwa eksploatacji stalowych kominów przemysłowych; doc. dr hab. Robert Leszko — prorektor WSP w Zielonej Górze — za szczególne osiągnięcia naukowe w zakresie dydaktyki matematyki i logiki; doc. dr hab. Albert Pawłowski — prodziekan Wydziału Pedagogicznego WSP w Zielonej Górze — za szczególne osiągnięcia w dziedzinie nauk politycznych i społecznych; prof. dr hab. Adam Solski — dyrektor Instytutu Inżynierii Sanitarnej WSI w Zielonej Górze — za szczególne osiągnięcia naukowe w dziedzinie ochro ny wód przed zanieczyszczeniem.

★ Zmarł Alfons Bogaczyk — emerytowany drukarz, działacz społeczny, popula ryzator wiedzy o regionie lubuskim. Tuż po wyzwoleniu Zielonej Góry w 1945 r. uruchomił zakłady graficzne, którym kierował do końca 1946 r. W tym czasie z maszyn drukarskich zeszły pierwsze książki, m.in. „Informator zielonogórski”, „Prasłowiańszczyzna” prof. Józefa Kostrzewskiego. Wraz z żoną uruchomił pierw szą w Zielonej Górze księgarnię i wypożyczalnię książek „Dom Słowa Polskie go”. Był współtwórcą pierwszych uroczystości winobranowych, pisał scenariusze i reżyserował widowiska. W późniejszych czasach był redaktorem technicznym wielu publikacji o przeszłości Ziemi Lubuskiej. Do ostatniej chwili swojego ży cia czynnie uczestniczył w życiu społecznym, pisał gawędy, opowieści i wspom nienia.

★ Redakcja „Gazety Lubuskiej” i „Nadodrzu” zorganizowały w Drzonkowie i Zielonej Górze wielki festyn. Prócz występów artystycznych znanych i popular nych zespołów muzycznych, Lubuszanie uczestniczyli w konkursach, grach kom puterowych, turniejach itp. Dochód uzyskany z festynu przeznaczono na budowę szkoły — Pomnika Rodła w Dąbrowie Wlkp. i budowę Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Zielonej Górze.

ZAPROSILI NAS: Prezydja Rady Wojewódzkiej Patriotycznego Ruchu Odrodze nia Narodowego oraz Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze na uro czystą sesję z okazji Święta Odrodzenia Polski; Wydział Kultury i Sztuki Urzę du Wojewódzkiego w Gorzowie na konferencję prasową w Teatrze im. Juliusza Osterwy; Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej Górze na otwarcie wystawy rysunków Tomasza Rzeszutka; Galeria Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze na otwarcie wystawy prac malarskich Anny Wiejak-Karpi wicz; Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej w Krakowie i Towarzystwo Przyjaźni Sztuk Pięknych w Kielcach na wieczór artystyczny z okazji święta narodowego Francji. Dziękujemy.

nadodrzu

Dwutygodnik społeczno-kulturalny Organ Lubuskiego Towarzystwa Kultury Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra pl. Bohaterów Stalingradu 13-1 p. oraz adres dla korespondencji: 65-358 Zielona Góra skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretarz 708-35, sekretarz redak cji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 łaczy tele fony wewnętrzne. Telex 0432358.

Redaguje zespół: Halina Aniska-Skarbek, Lu cyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Ko nusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska -Masłowska (stżykistka), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. nacz.), Wiesław Nodzyński (sekretarz red.) Piotr Plotowski, Ryszard

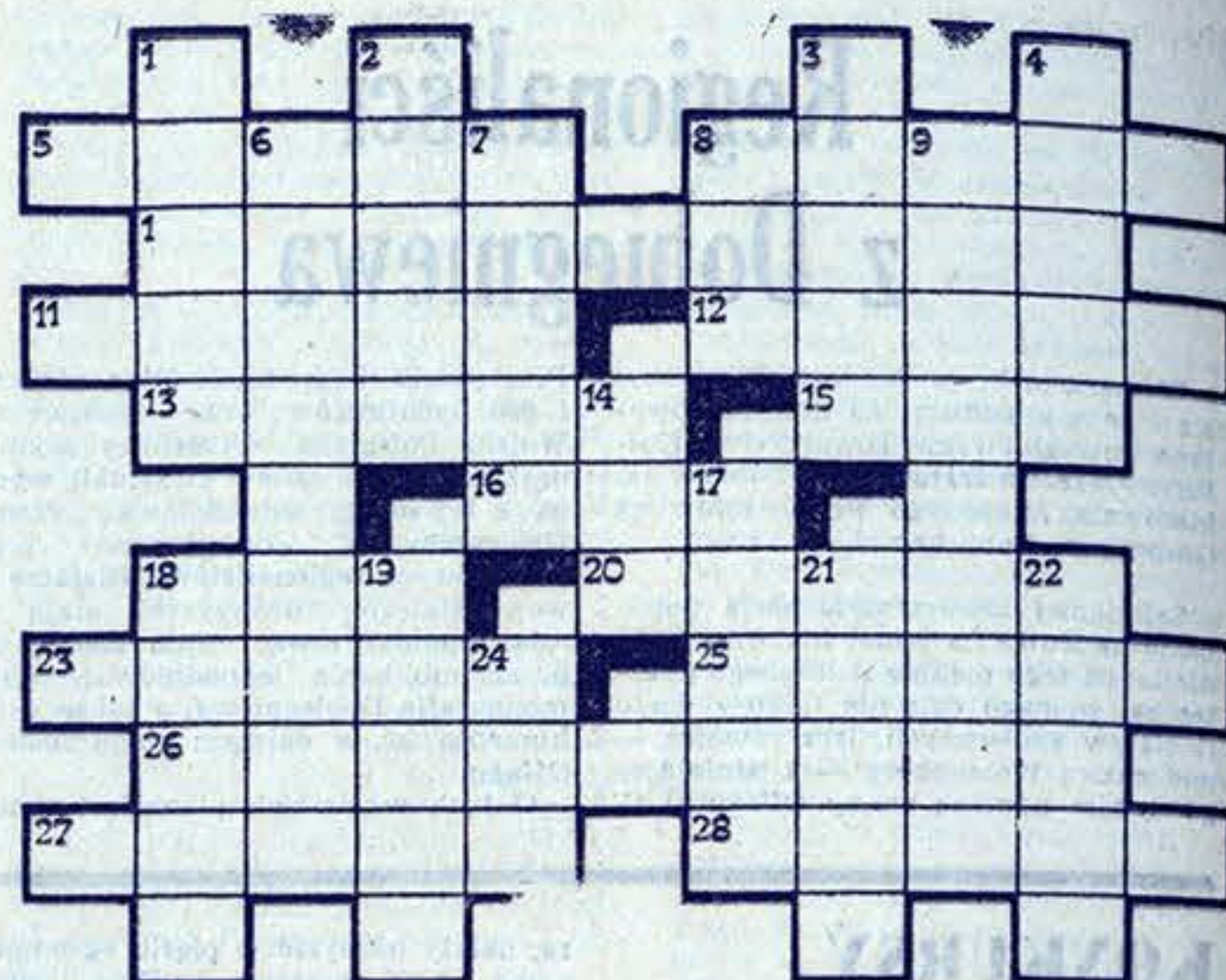
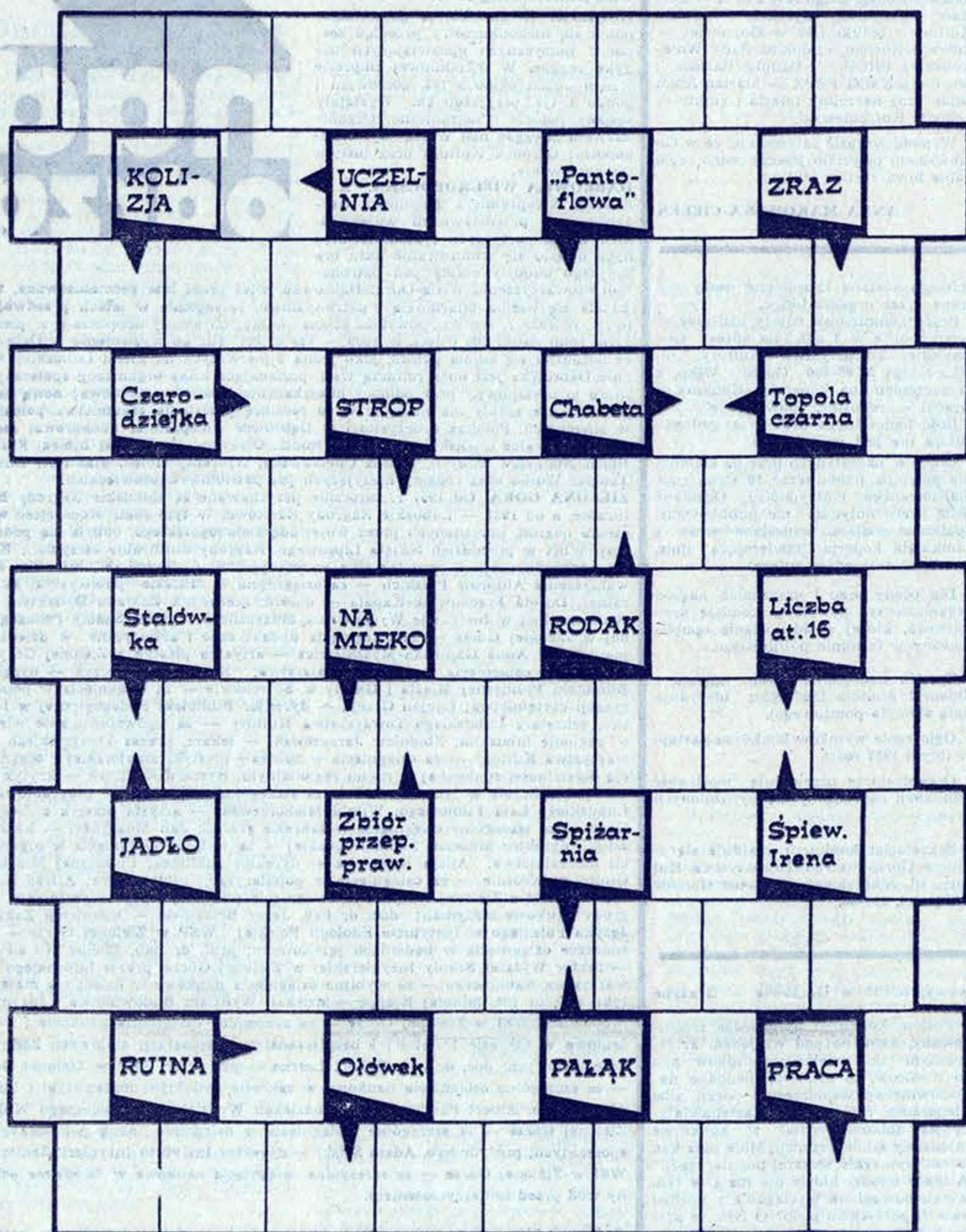
Rowiński, Alfred Siatecki, Korkata: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow, sekretariat redakcji: Elżbieta Walencka. Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 35 65-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 47 Dyrektor: Zbigniew Pietkiewicz tel. — 71-35

Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-075 Zielona Góra ul. Reja 3. Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch” 65-042 Zielona Góra al. Niepodległości 35 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odo wia. Materiały (teksty i fotosy) nie zamawionych redakcją nie zwraca. W przy padku wykorzystania nie zamawionych ma teriałów redakcja zastrzega sobie prawo skróto i zmian tytułów.

Oprac. Stanisław Patycki
WIROWKA PRAWOSKRETNA

nadodrze

ROZRYWKI UMYSŁOWE



KRZYŻÓWKA

POZIOMO:

- 5) staropolski ubiór męski
- 8) ratunek
- 10) łańcuch górski w Chinach i Indii
- 11) bułgarski poeta i działacz rewolucyjny, przyjaciel Mickiewicza
- 12) pretekst
- 13) lennik, poddany
- 15) w starożytności nazwa miasta Sur
- 16) tłuszczyk zwierzęcy
- 18) narzędzie włamywacza
- 20) skarga na kogoś
- 23) pusty frazes
- 25) podudzie
- 26) środek przeciwwgorączkowy i przeciwbólowy
- 27) metal rzadko występujący w przyrodzie
- 28) ciasto migdałowe lub orzechowe z miodem.

PIONOWO:

- 1) marszałek ZSRR, dowódca frontów w II wojnie światowej
- 2) pieśń
- 3) malarz francuski, wywarł duży wpływ na impresjonizm (1766—1835)
- 4) zaraza, epidemia
- 6) kraina w Argentynie i Chile
- 7) ogrom, duża ilość
- 8) cerkiewny duchowny
- 9) specjalista wiedzy o muzyce
- 14) woda w postaci stałej
- 17) hinduski asceta
- 18) wnyk na myszy
- 19) prawy dopływ Sekwany
- 21) część trzonu kielicha mszalnego
- 22) kolegium szkoły wyższej
- 24) porządek.

KALAMBUR

Ciężarówka, rybnie żebro
w tym wieku na włosach srebro

Rozwiązanie zadań prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie należy nakleić kupon zamieszczony powyżej. Kupony z rozwiązaniami trzech zadań wezmą udział w losowaniu nagrody książkowej wartości około 300 zł. Czytelnicy, którzy w tym losowaniu nie będą mieli sześciu, wezmą udział — razem z tymi, którzy rozwiązali 2 zadania — w losowaniu 2 nagród książkowych po 200 zł.

(Rozwiązania z nr 13 podamy w następnym numerze).

MaRGINAłki

TESKNOTA ARTYSTY. Tomasz Rudolfino rozmawia w katowickim tygodniku „Tak i Nie” (nr 28) z byłym spórtowcem a obecnie aktorem Władysławem Komarem. Tytuł wywiadu: „Mógłbym zagrać u Spielberga”. Dziennikarz zadaje pytanie: „Czy można powiedzieć, że w pańskim życiu nastąpiło totalne spełnienie wszystkiego?” Mistrz Komar odpowiada: „Chyba jednak nie można. Nie byłem bowiem dwukrotnym mistrzem olimpijskim, ani rekordzistą świata. Zagrałem w „Piratach”, ale nie otrzymałem roli u Spielberga czy Vadima. Nawet nie byłem jego żoną...”. Cierpliwości! Może i to pragnienie zostanie kiedyś spełnione?

KROKODYLA DAJ MI LUBY. W „Tygodniku Kulturalnym” (nr 28) tym razem Rita Golebiowska rozmawia z Jerzym Trunkwalterem, szefem repertuaru filmowego I programu TVP, zadając w tytule pytanie: „Tara czy Isaura?”. Autorka wywiadu ostro atakuje, stwierdzając m.in.: „Tylko na dobrą sprawę, co nas obchodzi kłopoty wielkiej finansjery i kapiela w luksusowych basenach z krokodylami? Mogą budzić najwyżej frustrację, kiedy na co dzień mamy zupełnie co innego”. Myli się szanowna autorka. Finansjery rodzinnego pochodzenia z pewnością bez trudu możemy odnaleźć, natomiast krokodyla może być wypożyczyć któregoś z polskich ZOO...

EKSPERT. Na brak ekspertów nigdy nie narzekaliśmy. Tym razem w takiej

roli wystąpił nowy biskup katowicki Damian Zimoch, który — jak informuje „Przegląd Katolicki” (nr 27) — stwierdził w jednym z ostatnich wygłoszonych kazania: „Niedobra jest atmosfera w całym naszym życiu społecznym. Brak autentycznego dialogu między różnymi grupami ludzi. Wyreżyserowane rozmowy w telewizji trudno nawiązać do dialogu. Tymczasem problemy naważają się, rośnie apatia i zniechęcenie. Zbyt wiele mamy doświadczeń bolesnych, by iść za demagogicznymi sformułowaniami niektórych dziennikarzy. Panuje nieufność i zakłamanie. Pustka ideowa rozluźnia więzy moralne.” I dalej bp Zimoch powiedział: „Z drugiej strony najwyższy czas, aby w naszym życiu społeczno-gospodarczym przeprowadzić konieczne reformy i dostosować wszystko bardziej do zdrowej filozofii życia.” Po takich diagnozach przecieramy oczy: jakiego kraju one dotyczą, kto zafundował tak ciemne okulary katowickiemu biskupowi, który nic nie dostrzega z dokonujących się w naszym kraju przemian?

TRAFNA SENTENCJA. Stały felietonista „Tygodnika Powszechnego” w nrze 28 rozprawia się z zachodnimi korespondentami, którzy opisują nasz kraj w sposób dla siebie i swoich czytelników dogodny, niestety, najczęściej — zdaniem Kisiele — nieprawdziwy. Przy okazji felietonista formułuje trafną sentencję: „Ci co są u nas przeciw, chętnie (przedziwna to zaiste chęć!) przyjęli ethos „honorowych dziadów”, wyrzekając się siłą faktu wszelkiej odpowiedzialności za cokolwiek, bo kto nie może, to i nie może nie jest winien”. Świeta prawda!

PAMFLET NA HISTORYKÓW LITERATURY. W 6 zeszytach „Przeglądu Powszechnego” ukazał się interesujący wy-

wiad Beaty Chmielewicz z Ryszardem Przybylskim, znanym polskim klasykiem. Ten historyk literatury stwierdza m.in.: „Wielu historyków literatury pisało i pisze z ogromną wyśzością i pretensją mi wobec zmarłych pisarzy. Są to najczęściej pretensje ludzi, którzy nie rozumieją tekstu. W charakterze przykładu może tu służyć znakomity skądinąd Kleiner. Oczywiście Stowacki był dla niego wielkim geniuszem, ale Kleiner lepiej wiedział, jak ten wielki geniusz powinien pisać, co ten wielki geniusz skłonił. Profesorska krytyka jest czasem bardziej żenująca niż recenzentkie uypociny.” Ostro powiedziane! Ale ile jest w tym prawdy?

POCZTA. „Marginałki” dziękują z opóźnieniem za nadesłany komplet miesięcznika „Drezenko”, redagowany przez tamtejszych działaczy PRON i informują, iż z wypiekami na twarzy czytają kolejne odcinki powieści (kryminału) Janusza Olejki pt. „Niedokończony raport”.

ENTUZJAZM BEZ GRANIC. Dawno nie czytaliśmy tak entuzjastycznej recenzji ze spektaklu teatralnego, jaką wydrutowała w „Tygodniku Kulturalnym” (nr 28) Krystyna Kuczyńska, omawiając inscenizację „Dożywocia” Fredy w Teatrze im. Osterwy w Gorzowie. Watpimy, czy z tych przesłodzonych opinii zadowolony jest sam dyrektor Baniukiewicz, który „dowiódł, że ceni swoich aktorów”. W roli głównej zagrał Wojciech Deneka, mając za sobą doświadczenia takich mistrzów, jak Solski, Wyszczerski, Holoubek, Łomnicki i Drzewicz. Gorzowski odtwórca roli Łatki „przystąpił do pracy nad nią pełen wątpliwości ci: „Już myślałem często, że porwałem się na to wiele...” — powiedział. Na scenie zaprezentował pewien nadmiar ekspresji, który reżyser chciał powściągnąć, okiełznać — może dlatego, że rozsądza ona trochę ramy postaci realistycznej. Mimo to Deneka zagrał ciekawie i jednak bez karykaturalnych przedrzeźnień (choć karykaturalna, służąca śmieszności jest jego charakterystyka). A dalej autorka tego wypracowania pisze w coraz wyższej tonacji zachwytu. Tak, to ona dała się ponieść „nadmiarowi ekspresji”. Teraz jesteśmy w domu.

POSTAWY

To był znakomity facet...

Chciałbym stanąć w poprzek wygody, jakie rozpowszechnia się u nas. Zdaje sobie sprawę z niepopularności tematu. Ktoś jednak i rzeczy niewdzięczne musi robić...

Skąd u nas bierze się paniczny strach przed ludźmi odrażającymi? Na pewno gra tu rolę obawa przed naruszeniem własnego fotela. Niewątpliwie również i dążeń o dobrą opinię. Bez względu nie także liczy się „zakuta” lojalność służbowa. „Żeby zwierzchnicy czasem sobie czegoś o mnie nie pomyśleli”. A jaka jest pewność, iż przełożeni — w razie czego — wyciągną tylko nieprzychylny wniosek?

Oto „zdjęty” niedawno dyrektor nie wie teraz, komu spojrzeć w oczy, a komu nie. Ci, co byli usłużni, nieskazitelnie grzeczni, obecnie śmigowym ruchem przemijają przed nim na drugą stronę ulicy albo udają, że go nie widzą. Ktoś tam ogromną wielkoduszność wykazuje, jeśli łaskaw gdzieś w kącie chwilę porozmawiać. „Wiesz, jak to jest. Spiesz się”.

A gdzie się podziały niedysięsze „pompy” imienia? Gdzie puszcza przerożonych, przeczudnych kwiatów? Czemu nagle przestali zapraszać do siebie na uroczystości, rocznice, na działkę? Dziś pełnowartościowego solenizanta — acz nie lotra przecież — odwiedza dwóch odważnych i niezależnych przyjaciół. Niestety, żadnego z nich do „szczytów” nie da się zakwalifikować. Przyjdzie ktoś tam jeszcze. Na szczęście — jest jeszcze rodzina.

Owszem, bez jakiegokolwiek ryzyka, mogliby ten i ów jedynie, choć przychylnym zdaniem spróbować pomóc. Lecz mówili tylko ci przyjeźdźni, z komisią, pryncypałem. Mieli przed sobą stos materiałów stawiających podejrzenie w nieciekawym świetle. Gospodarność nie bardzo, zaangażowanie, mo-

ralność. I fantazja, dużo fantazji, zwichocznymi, złośliwymi pomysłami. Gdy się jednak nie wypowiada w tak poważnym gronie, z protokolowaniem, nabiera to rangi...

Zapomnieli nagle mowy ojczyjstego przełożenia, którzy tyle razy wręczali nagrody nieszczęśliwemu, który powierzał mu najtrudniejsze i najbardziej odpowiedzialne zadania, którzy „bili się” ale i otoczenia, społeczeństwa. Zaden skutecznie o jego odznaczenia, którzy dawali go za wzór jako pryncypała rozumiejącego nie tylko potrzeby firmy, się w krytycznym momencie nie odezwali. Jakby go zupełnie nie znali. A po wszystkim, po tym smutnym przedstawieniu, odszedł zupełnie sam. Nikt mu ręki nie podał. „Etykiecie” stało się zadość.

Wątpię, czy ktokolwiek „z góry” każe wszystkim współpracownikom o to milczeć. Niechęć do wystąpienia w obronę kogoś — jestem przekonany — bierze się z pobudek nie służbowych, lecz osobistych, charakterologicznych, i wewnętrznej, psychicznej konstrukcji. Kogo u nas skazano za minimum od wagi, za przedstawienie swojej opinii na temat postępowania kogoś, kogo karci się zapisane pozytywnie także, a negatywny jawia się w sposób dyskusyjny? Wolimy — już po, po smutnym po — dobitliwie i współczująco stwierdzić, iż to był cenny, znakomity facet i, że go szkoda. Powiedzieć tak w towarzyskiej, swobodnej pogawędce — nie jest czynem heroicznym.

Mój znajomy, mniejszy krocie szaf w spółdzielni, podkreślał głośno, że „wczoraj” nie miał czasu nawet dla prezesa. Prezes dnia poprzedniego na walnym zgromadzeniu nie uzyskał absolutorium i odchodzi.

STANISŁAW ŚWENIARSKI